



# SHAWNA DELACORTE



*Świąteczne marzenie  
milionera*

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Z głośnym westchnieniem Marcie Roper przełożyła ciężkie pakunki do drugiej ręki. Stała właśnie przed sklepową witryną i z zachwytem oglądała cudowną, granatową suknię balową. Rzuciła okiem w dół, na swoje wytarte dżinsy, i ze smutkiem pomyślała, że nie stać jej na eleganckie kreacje. Pochodziła z zupełnie innego świata.

Westchnęła ciężko i wolno przeszła do następnej wystawy, na której pyszniły się czerwone sukienki koktajlowe. Uświadomiła sobie, iż choć brakowało jeszcze kilku tygodni do Dnia Dziękczynienia\*, na wszystkich wystawach były już dekoracje bożonarodzeniowe. Smutek ścisnął jej serce. Nie mogła narzekać na brak przyjaciół, lecz czekały ją kolejne samotne święta.

*\* Dzień Dziękczynienia - obchodzone w ostatni czwartek listopada amerykańskie święto narodowe. Ustanowione ku czci pierwszych kolonizatorów przybyłych do stanu Massachusetts.*

- Hej! Zaczekaj!

Głośny okrzyk przykuł jej uwagę. Odwróciła głowę i ujrzała wybiegającego zza węgła mężczyznę. Mógł mieć trzydzieści kilka lat. Był wysoki, szczupły, zgrabny i opalony. Z lekkością sadził w jej kierunku długimi susami. Przysunęła się do ściany budynku, by zrobić mu miejsce.

Nie zwalniając biegu, ściągnął z siebie czerwoną wiatrówkę, przewinął ją na drugą, grafitowoszarą stronę i ponownie wciągnął na ramiona. Rzucił za siebie nerwowe spojrzenie, wyszarpnął z tylnej kieszeni czapkę z dużym daszkiem i nacisnął głęboko na oczy.

Zatrzymał się gwałtownie. Jego błękitne oczy lśniły wesołością. W pierwszej chwili Marcie pomyślała, że nieznajomy musi być w tarapatkach. Lecz

szelmowski uśmiezek na jego twarzy prędko obalił to przypuszczenie. Bardziej wyglądał na psotnego chłopca uciekającego przed klapssem niż na człowieka w potrzebie.

Wysoki mężczyzna przyglądał się jej przez moment. Potem znów rzucił przez ramię nerwowe spojrzenie. Nagle, stając tyłem do przecznicy, z której wybiegł, położył jej ręce na ramionach i uśmiechnął się szeroko.

- Wyświadczy mi pani ogromną przysługę, jeśli poświęci mi pani kilka minut - powiedział Chance Fowler. Kątem oka wciąż zerkał za siebie. Zza rogu, sapiąc głośno i stękając, wybiegł właśnie niski, łysawy, tłusty człowieczek obwieszony aparatami i torbami fotograficznymi. W pulchnej dłoni ścisnął jeszcze jeden aparat. Nie było wątpliwości, iż jest to kolejny paparazzi polujący na okazję zrobienia zdjęcia członkowi rodu Fowlerów, właścicieli „Fowler Industries”. Tacy fotografowie zawsze irytowali Chance'a. Zwłaszcza gdy był akurat zajęty sprawami fundacji. Zachęcony radami matki, jeszcze w szkole średniej postanowił, że odda społeczeństwu część dóbr, które stały się jego własnością, gdy tylko przyszedł na świat.

I już od lat finansował program pomocy chłopcom zagrożonym wykolejeniem. Takim, którzy weszli już w konflikt z prawem, zostali wyrzuceni ze szkół, pozbawili się szans na zdobycie zawodu i normalne życie. Chance nie życzył sobie, by gazety rozpisywały się o jego przedsięwzięciu. Ani o jego podopiecznych.

Ale zawsze i wszędzie, kiedy tylko mógł sobie na to pozwolić, chętnie zabawiał się z wścibskimi fotoreporterami. Tak było i tego dnia.

- Proszę mnie puścić! Natychmiast! - Marcie z trudem wyzwoliła się z czarodziejskiego wpływu jego uśmiechu. Spróbowała strząsnąć obejmujące ją ramię.

Chance przycisnął ją mocniej i położył palec na jej ustach.

- Kiedy tylko fotograf sobie pójdzie - powiedział. Popatrzyła na obwieszonego aparatami jegomościa.

Przerażenie ustąpiło miejsca złości. Zrozumiała, że nie grozi jej żadne poważne niebezpieczeństwo, lecz nie zamierzała pogodzić się z przemocą.

- Nie zgadzam się! - krzyknęła. - Albo puści mnie pan natychmiast, albo zacznę krzyczeć. - Próbowała uwolnić się i nie pogubić przy tym wszystkich paczek i paczuszek.

Zacięty wyraz twarzy fotografa wskazywał, że zamierzał on dopaść za wszelką cenę swojej ofiary. Rozglądał się w lewo i w prawo. Potem energicznie ruszył ku Marcie i obejmującemu ją przystojniakowi.

Widząc to, nieznajomy objął ją jeszcze mocniej i wtulił twarz w jej szyję. Łagodnym głosem szepnął prosto do ucha dziewczyny:

- Miałem nadzieję, że będziemy mogli po prostu chwilę razem postać. Udawać, że oglądamy wystawy. Ale skoro to niemożliwe, zrobimy coś innego...

Zanim Marcie zdążyła zareagować, przywarł ustami do jej warg.

Fotograf przemknął obok nich jak burza. Lecz gdyby nawet czołgał się jak ślimak, Marcie i tak by go nie dostrzegła. Elektryzujący pocałunek nieznajomego sprawił, że z trudem mogła pozbierać myśli.

Nikt przedtem nie całował jej w taki sposób! Gdyby ten obcy mężczyzna nie obejmował jej mocno, osunęłaby się na ziemię. Nogi ugięły się pod nią, a serce zaczęło bić przyśpieszonym rytmem.

Niebezpieczeństwo minęło i Chance mógł uwolnić ją z uścisku. Jednak jeszcze o mgnienie oka przedłużył pocałunek. Wyprostował się i spojrzał w pełne niepewności i niepokoju oczy. I wcale nie był pewien, co w nich ujrzał. Lecz bardzo mu się to spodobało. Zaprzagnął pocałować ją raz jeszcze. Trzymać w ramionach.

Chance nagle poczuł niezdolny ucisk w krtani. Zrobiło mu się wstyd. Nie powinien był wplątywać tej przemiłej nieznajomej w swoje gierki z fotografem. Byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby pozwolił sobie zrobić kilka zdjęć.

Wzburzona i zakłopotana Marcie cofnęła się o kilka kroków. Nerwowym ruchem przyglądała krótko obcięte, kasztanowe włosy. Drugą ręką kurczowo

przyciskała swoje pakunki. I choć wciąż jeszcze czuła drżenie kolan, rzuciła się do ucieczki.

- Hej! Zaczekaj...

Marcie przyśpieszyła kroku.

Skreśliła w najbliższą przecznicę i wpadła do wielkiego sklepu. Nie zatrzymując się ani na moment, drugimi drzwiami wybiegła na inną ulicę. Dopiero wtedy zatrzymała się i spojrzała za siebie.

Nikt jej nie gonił. Oparła się o mur i dyszała ciężko.

- Jasna cholera! - mruknęła po chwili. Gdzieś tam, podczas ucieczki, zgubiła jedną z toreb. Tę z księgarni. Dwa tygodnie polowała na te książki. Trzy były przeznaczone dla niej, czwarta - opasłe tomisko o wojnie secesyjnej - miała być urodzinowym prezentem dla ojca. Z wściekłości zacisnęła zęby. To była wina tego szaleńca!

A wszystko stało się tak szybko. Nie zdążyła nawet przyjrzeć mu się dokładniej. Był wysoki. Miał ciemne włosy i błękitne oczy. Pięknie opalony... I uśmiechał się tak porywająco. Ale cóż ją to właściwie obchodziło?

Westchnęła ciężko. Co za dzień! pomyślała. Zaczęło się od tego, że nim jeszcze wyjechała rano z domu do San Diego, złapała gumę. Potem zakupy. Wreszcie to niezwykle spotkanie z nieznanym. I jeszcze zgubienie torby!

Najwyższy wracać do domu.

Odszukała samochód i ruszyła w drogę. Na północ od San Diego, do Crestview Bay. Na pierwszą była umówiona z bardzo obiecującym klientem. I przez tego narwańca będzie musiała zrezygnować z lunchu, by nie spóźnić się na spotkanie.

Była wściekła. Lecz ani przez chwilę nie mogła zapomnieć jego pocałunku. Mimo najszczerszych chęci wciąż powracał do niej obraz przystojnego i uśmiechniętego nieznanego.

Chance Fowler zaparkował swojego porsche w tym samym co zawsze miejscu na parkingu przed jachtklubem. Niemal biegiem przemierzył drewniany

pomost i zatrzymał się przed lśniącym białą jachtem. Na rufie czarne litery układały się w nazwę „Celeste”. Na cześć jego matki. Pierwszej z bardzo wielu kolejnych żon Douglasa Fowlera.

- Co słyszeć, Łap Okazję? - Zgrabna blondynka w różowym bikini pomachała do niego z pokładu sąsiedniego jachtu. - Wystartujesz w jutrzejszych regatach?

- Oczywiście, złotko. - „Łap Okazję”... Takim przezwiskiem obdarzyli go koledzy jeszcze w szkole. Chance\* „Łap Okazję” Fowler. Zawsze gotów do nowej przygody.

**\*gra słów - chance (ang.) - okazja, sposobność**

- Będiesz więc także wieczorem na przyjęciu w jachtklubie, prawda?  
- Spodziewam się. - Chance pomachał blondynce.  
- Jesteś wreszcie! - Mężczyzna na pokładzie „Celeste” był naprawdę zagniewany.

- Przepraszam, Dave. - Chance wskoczył na jacht. - Znow miałem przejścia z cholernym fotoreporterem z jakiegoś brukowca. - Niespodziewanie przypomniały mu się skryte za długimi rzęsami migdałowe oczy. - Chociaż chyba powinienem pozwolić mu na zrobienie kilku zdjęć...

Ileż to już razy w ciągu ostatnich godzin wspominał tę tajemniczą dziewczynę! Niemal czuł ją w swych ramionach. Dotykał jej ust. I drżał pod wrażeniem tego czegoś w jej oczach. Co to było? Gniew? A może błysk pożądania? Cokolwiek to było, głęboko wryło się mu w pamięć. Chciałby raz jeszcze móc tak rozpalić jej oczy. Ale ona uciekła, nim Chance zdążył spytać ją choćby o imię. Zanim dobiegł do narożnika budynku, zniknęła.

Przymknął oczy i zobaczył jej smukłą sylwetkę. Widział iskierki w jej oczach, migocące jak słońce na falach Mission Bay. Jej pełne, słodkie usta były...

- Wróć na ziemię, Chance. - Zirytowany Dave przywołał go do rzeczywistości.

- Co? Och... przepraszam. Zamyśliłem się.

- Nie mogę spędzić tu całego dnia. Byłbym wdzięczny, gdybyś zechciał skupić się na jutrzejszych regatach.

- Taaak. - Chance uśmiechnął się marzycielsko. - Oczywiście.

- Ruszajmy więc. Siostra mojej Bonnie z mężem i trójką dzieci będą dziś u nas na kolacji. Dostałbym za swoje, gdybym się spóźnił.

Chance nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Bonnie jest naprawdę urocza - powiedział. - Ale z ciebie jest straszny pantoflarz. Próbowiałem ostrzec cię przed ślubem, ale nie chciałeś słuchać.

- Daj mi spokój, dobrze? - warknął Dave.

Dwaj przyjaciele szybko przygotowali jacht do treningu i w krótkim czasie wypłynęli na wody zatoki.

Wrócili do przystani po czterech godzinach. Ledwie zdążyli zacumować i sklarować jacht, Dave popędził do samochodu i z piskiem opon wyjechał z parkingu. Chance nie spieszył się. Choć był to piątkowy wieczór, nie miał chęci kręcić się po klubie i zadawać z ludźmi, którzy - tak naprawdę - niespecjalnie go obchodzili.

Spojrzał na leżącą na tylnym siedzeniu jego samochodu torbę. Była to zguba tajemniczej nieznajomej, której nie zdołał dogonić. Wrzucił więc znalezisko do samochodu i zapomniał o nim. Aż do tej chwili.

Spojrzał uważnie na torbę reklamową jednej z większych księgarni w mieście. Otworzył ją szeroko i przechylił. Na fotel wypadły cztery książki i wypełniony ręcznym pismem formularz zamówienia. „Marcie Roper. Crestview Bay. Ogrodnictwo. Architektura terenów zielonych”, przeczytał.

Wolno złożył kartkę i uśmiechając się lekko, wsunął ją do kieszeni. No cóż, Marcie Roper... pomyślał. Prawdę mówiąc, nigdy jeszcze żadna kobieta nie uciekła ode mnie. I to tak dosłownie. Będę musiał zrobić coś, byś zmieniła

zdanie na mój temat. Z przymkniętymi oczami rozkoszował się wspomnieniem niedawnego pocałunku.

Obejrzał leżące obok książki, spakował je z powrotem do torby i wysiadł z auta. W budynku jachtklubu odszukał książkę telefoniczną. Znalazł tam pod jednym adresem trzy firmy: Ogrodnictwo, Kwiaciarnię i Architekturę terenów zielonych. Potem odszukał jeszcze na białych stronach adres M. J. Roper.

Znów stanął mu przed oczami jej obraz. Poczłł słodki smak jej ust, ujrzał złote błyski w migdałowych oczach. Potrząsnął głową i wrócił do samochodu. Nie potrafił zrozumieć, czemu tak mocno ta dziewczyna wbiła mu się w pamięć.

- Marcie Roper z Crestview Bay... - mruknął. - Udało ci się umknąć, ale potrafię cię odnaleźć.

Sącząc poranną kawę, Marcie leniwie przeglądała niedzielną gazetę. Choć do Bożego Narodzenia było jeszcze sześć tygodni, wszystkie reklamy pełne były świątecznych elementów. Trudno jest myśleć o świętach, gdy słońce grzeje tak wspaniale.

Uznała, że ona także powinna zmienić już wystawę, wyeksponować wszystkie te ręcznie robione ozdóbki, wieńce, girlandy, krzaczki i choinki, które miała na składzie. Lecz nie miała na to zbyt wielkiej ochoty. Zamiast przedświątecznego podniecenia odczuwała tylko gorzyc samotności. Jak co roku od śmierci babci. Z ciężkim westchnieniem przewróciła stronicę i pociągnęła kolejny łyk kawy. Nie zdołała jednak jej już przełknąć. Fotografia, którą ujrzała w gazecie, sprawiła, iż filiżanka omal nie wypadła jej z dłoni, a gorąca kawa poleciała wprost do krtani. Dusząc się i kaszląc, Marcie próbowała złapać oddech.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Z leżącej przed nią gazety, z tym samym diabelskim uśmiechem, patrzył na nią spotkany w piątek facet. Wraz z innym mężczyzną trzymał wysoko uniesiony puchar dla zwycięzców. Była tam również kobieta w skąpym kostiumie kąpielowym. Ujmowała go pod ramię.



Marcie z uwagą przyglądała się fotografii. Nie było wątpliwości. To na pewno był on. Mężczyzna, którego pocałunek wciąż palił jej wargi.

Przebiegła wzrokiem podpis pod zdjęciem. Potem przeczytała jeszcze raz. Wolniej. „Chance Fowler i Dave Stevens prezentują puchar za zwycięstwo w sobotnich regatach. To już trzecia wygrana Fowlera na jachcie „Celeste” widocznym w tle”.

- Chance Fowler! - Aż sapnęła ze zdumienia. Chance Fowler? Czyżby mężczyzna na fotografii był tym właśnie Chance'em Fowlerem?! Człowiek, który zjawił się na jej drodze nie wiadomo skąd, miałby być spadkobiercą fortuny Fowlerów? Sławnym kobieciarzem, którego podobizny wciąż pojawiały się na rozkładówkach kolorowych magazynów?

Marcie wysoko uniosła brwi ze zdumienia. Dobrze znała takich facetów jak on. Zadufanych w sobie, nieodpowiedzialnych. Zareczyła się kiedyś z kimś takim. Pewnego dnia jej wybranek doszedł do wniosku, że nuda małżeństwa nie jest dla niego. Zapragnął wolności i odszedł.

Wtedy Marcie postanowiła, że poślubi tylko kogoś, kto stworzy jej prawdziwy dom.

Jej ojciec był niepoprawnym marzycielem. Wciąż zdawało mu się, że za następnym wzgórzem rozciąga się jeszcze żyźniejsze pastwisko. Przez całe życie gonił za czymś nieznanym. Skutek tego był taki, że stale byli w drodze. Przeprowadzali się tak często, że rzadko zdarzało się Marcie spędzić w jednej szkole więcej niż kilka miesięcy. W końcu matka wysłała ją do babci. I tylko dlatego Marcie mogła przez cztery lata uczyć się w jednym liceum.

Kiedy miała szesnaście lat, jej matka zmarła. Z ojcem nigdy nie była zbyt zżyta. Utrzymywali raczej luźne kontakty. Lecz przez niego właśnie stała się w kontaktach z mężczyznami nieufna i podejrzliwa.

Znów spojrzała na fotografię w gazecie. Nie napisano, kim jest kobieta w skąpym bikini. Bez wątplenia jednak była w typie Chance'a „Łap Okazję”, jak

nazywali go dziennikarze. Bezwiednie dotknęła ust. Wciąż jeszcze czuła żar tamtego pocałunku.

Z zadumy wyrwał ją dźwięk dzwonka telefonu. Podniosła bezprzewodową słuchawkę.

- Słucham? - rzuciła.

- Marcie... tu Sandy. Obawiam się, że nie przyjdę dziś do pracy. Chyba czymś się zatrulałam. Przez całą noc nie zmrużyłam oka.

Nie była to zbyt radosna wiadomość. Sandy pracowała u niej od pięciu lat i stała się naprawdę niezastąpiona. Marcie polegała na niej bez zastrzeżeń.

- W porządku, Sandy. Zobaczymy się, kiedy wydobrzejesz.

- A co z zakupami na giełdzie kwiatowej jutro rano?

- Nic się nie martw. Dam sobie radę. Kuruj się i wracaj szybko.

- Dziękuję, Marcie. Zadzwoń jutro.

I tak oto, zamiast spokojnego, czekał ją dzień niezwykle męczący. Bez względu na porę roku właśnie w soboty i niedziele w sklepie ogrodniczym bywał największy ruch. Kwiaciarnia, którą na co dzień zajmowała się Sandy, była wtedy zamknięta i Sandy pomagała Marcie. No cóż, trzeba będzie zakasać rękawy i uwijać się jak w ukropie.

Godzinę później Marcie była już w sklepie. Z zaplecza wyszedł właśnie mężczyzna w roboczych rękawicach.

- Wszystko gotowe, Marcie - powiedział. - Rośliny podlałem.

Poobcinałem uschnięte gałązki i zagrabiłem alejki. Kazałem Donowi przywieźć z magazynu pokarm i te nowe domki dla ptaków z ostatniej dostawy.

- Dzięki, Glen. Kiedy Don skończy, chciałabym, żebyście zabrali wszystkie siewniki, które stoją w kącie. Trzeba zrobić miejsce na choinki.

Ocierając pot z czoła, Glen roześmiał się.

- Pochodzę z Michigan - powiedział. - I wciąż nie mogę przyzwycząić się do Bożego Narodzenia bez śniegu. A już Święty Mikołaj na skuterze wodnym, w bermudach i słonecznych okularach... To mi się zupełnie nie mieści w głowie.

Marcie uśmiechnęła się.

- Mógłbyś w wolnej chwili skompletować to zamówienie? - Podała mu formularz. - Ogrodnik pana Adamsa przyjedzie po to przed południem.

- Jasne. Już się robi.

Glen był drugim, obok Sandy, zaufanym pracownikiem, na którym Marcie mogła polegać w każdej sytuacji. Szybko rosnące zapotrzebowanie na projektowanie ogrodów sprawiło, że ona sama mniej czasu mogła poświęcać sklepowi i plantacji. A pracy było tam tyle, że Glen i czterej pracownicy mieli zawsze ręce pełne roboty.

Punktualnie o dziesiątej Marcie otworzyła biuro i sklep. Przez cały dzień klienci napływali niczym wezbrana rzeka. Lecz nawet w takim nawale pracy nie mogła przestać myśleć o Chansie Fowlerze. A przecież spotkali się zupełnie przypadkowo. Gdyby nie fotografia w gazecie, nie wiedziałyby nawet, jak się nazywa. I nic nie wskazywało na to, by jeszcze kiedykolwiek mieli wpaść na siebie. Poruszali się po zupełnie różnych orbitach. Należeli do innych światów. Czemu więc wciąż miała przed oczyma jego obraz? Dlaczego raz po raz końcami palców dotykała ust, szukając ciepła tamtego pocałunku?

Uniosła głowę i spojrzała na zegar. Pół do szóstej. Jeszcze pół godziny i koniec pracy, pomyślała. Zabrała się do wnoszenia do środka wystawionych przed sklepem towarów. Pozbierała drobiazgi i rozejrzała się za Glenem lub Donem. Lecz obaj musieli być jeszcze w szklarni albo na plantacji. Marcie westchnęła głęboko i z wysiłkiem zaczęła zmagać się z ciężką skrzynią.

Chance Fowler powoli wjechał na parking przed sklepem ogrodniczym w Crestview Bay. Nim zdążył wysiąść z auta, ujrzał czarujący widok. Kobieta, której obraz siłą zadomowił się w jego sercu, stała przed wejściem do sklepu. Przez moment wpatrywała się w wielką, drewnianą skrzynię pełną jakichś krzaków. Obeszła ją dookoła i popchnęła nogą. Wsparła dłonie na biodrach i przez moment wpatrywała się w pakę. W końcu schyliła się i zaczęła pchać z wysiłkiem.

Wyskoczył z auta i podbiegł do niej. Na ułamek sekundy zatrzymał spojrzenie na jej ponętnych krągłościach. Potem schylił się i obejmując ją, chwycił za skrzynkę.

- To musi być strasznie ciężkie - szepnął jej wprost do ucha. - Pozwól, że ci pomogę.

Nie wiedziała, co zaskoczyło ją bardziej: obejmujące ją ramiona czy ten głos? Wyprostowała się gwałtownie. A Chance wybuchnął śmiechem.

- Marcie Roper, jak sądzę? - powiedział. - Wiesz, chyba powinniśmy przestać spotykać się w taki sposób.

Z łobuzerskim uśmiechem rozejrzał się dookoła. Potem zniżył głos i konspiracyjnym szeptem dodał:

- Jeżeli nie będziemy ostrożni, ludzie zaczną plotkować i wkrótce wszyscy dowiedzą się o naszych potajemnych schadzkach.

## *ROZDZIAŁ DRUGI*

Przerażona Marcie szeroko otworzyła oczy. Jego oszałamiający wygląd, uwodzicielski uśmiech i podniecająca bliskość sprawiły, że w pierwszej chwili poczuła kompletną pustkę w głowie. Jednak otrząsnęła się szybko. To, że był sławnym Chance'em Fowlerem, nie oznaczało przecież, że mógł pozwalać sobie na wszystko.

- To ty! - rzuciła przez zaciśnięte zęby. - Co tu robisz? Nie wystarczy, że zaczepiłeś mnie na ulicy i że przez ciebie zgubiłam torbę?! Musisz jeszcze mnie śledzić i wciąż... obłapiać? I nie obchodzi mnie, że nazywasz się Chance Fowler. Nic nie daje ci prawa...

- No wiesz? - Chance udął oburzonego. - Chciałem tylko pomóc ci dźwignąć tę ciężką skrzynkę.

Z rękami na biodrach, pochylona do przodu, Marie spoglądała nań groźnie. Miała nadzieję, że w ten sposób zdoła ukryć swoje zmieszanie... i podniecenie.

- To w żaden sposób nie tłumaczy twojego absolutnie niestosownego zachowania - warknęła.

Chance przyglądał się jej przez moment z zagadkowym uśmiechem.

- To w żaden sposób nie wyjaśnia, skąd znasz moje nazwisko - powiedział.

- Też coś! - obruszyła się. - Widziałam twoje zdjęcie w dzisiejszej gazecie. Pisali o zabawach rozpieszczonych paniczek. - Właściwie nie miała nic przeciwko stylowi życia, jaki prowadził Chance. Jednak mimo woli w jej głosie zabrzmiała dezaprobata.

- Ach, tak. Chodzi o regaty. - Chance z uwagą spoglądał w jej pałające oczy. Była absolutnie inna niż kobiety, z którymi przestawał do tej pory. Samodzielna i niezależna. Wspomnił smak jej ust, wyczuwalne krągłości jej ciała, gdy trzymał ją w ramionach. I zapragnął objąć ją znowu. I pocałować.

- Skoro już o gazetach mowa, chciałbym wytłumaczyć ci piątkowe zajście. Śledził mnie reporter pewnego brukowca i...

- Naprawdę nie interesuje mnie to, dlaczego to się stało, panie Fowler. Po prostu w ogóle nie powinno było do tego dojść. Nie miał pan prawa obejmować mnie tak, jakby miał pan do tego jakieś prawo. Być może ten rodzaj agresji jest normalny wśród pańskich przyjaciół, ale dla mnie na pewno nie.

Kątem oka dostrzegła Dona.

- Don, mógłbyś wnieść resztę do środka? - powiedziała. - Skoro nie mamy już klientów, śmiało możemy zamykać interes.

Posłała Chance'owi ostatnie, pełne pogardy spojrzenie, odwróciła się doń plecami i weszła do sklepu.

Chance stał nieruchomo. Po raz drugi patrzył, jak Marcie pokazuje mu plecy. Zaczynała intrygować go coraz bardziej. Dotychczas poznał tylko

cudowny blask jej oczu i urzekający smak ust. Teraz do tego opisu mógł dodać jeszcze silną wolę, niezależność i bezkompromisowość.

Jak większość ludzi, oceniła go, kierując się treścią artykułów z kolorowych magazynów. Czyli stekiem bzdur, kłamstw i pomówień. Zwykle nie zwracał na nie uwagi. Znał dobrze swoją wartość. Tak jak nieliczna grupa ludzi, na których mógł polegać. Nigdy nie czuł potrzeby wyjaśniania czegokolwiek, tłumaczenia się nieznanym. Dopiero będąc z Marcie, poczuł się zakłopotany.

Ponieważ Chance nigdy nie cofał się przed wyzwaniem, bez trudu dostrzegł w niej bratnią duszę. Wciąż widział jej lśniące oczy. Jeszcze nikt nie posłał go do diabła tak dobitnie, choć właściwie niemal bez słów. Nigdy jeszcze nie spotkał takiej kobiety. Wiedziony potrzebą bliższego poznania jej, wszedł do sklepu.

Marcie gorączkowo zbierała kwity i paragony. Wciąż nie mogła się uspokoić. Nie mieściło się jej w głowie, że ktoś mógł być aż tak arogancki i bezczelny. Tak pewny siebie. Nie mogła za nic zgodzić się na takie traktowanie. Zastygła bez ruchu.

- A jeśli chodzi o tamten incydent... Chciałbym ci wszystko wytłumaczyć.

Ciepły głos wyrwał ją z zamyślenia. Odwróciła się gwałtownie, zaskoczona obecnością intruza.

- Jeszcze tu jesteś? - Popatrzyła nań zimno.

- Tak. Trzeba przyznać, że wciąż tu jestem - odparł, rozglądając się po wnętrzu.

Jego prowokacyjna obojętność doprowadzała Marcie do wściekłości.

- No cóż. Ponieważ nie jesteś tu, by coś kupić, muszę prosić, żebyś wyszedł. Już zamykamy. - Pochyliła się nad papierami.

- W tej sytuacji chyba coś kupię. - Chance uśmiechnął się szeroko i zlustrował sklepowe półki. Po chwili sięgnął po karmnik dla ptaków. - Wezmę to. - Postawił go na ladzie. Uchwycił jej spojrzenie i poczuł niezwykle dreszcz przebiegający mu po plecach. To było coś więcej niż gra.

Prędko przywołał się do porządku. Zbyt wiele widział nieudanych małżeństw, by jeszcze wierzyć w udane związki. Jego ojciec, po rozwodzie z jego matką, zdążył już rozstać się z kolejnymi czterema żonami. I nic nie wskazywało na to, by miał na tym poprzestać.

- Jakie ptaki przylecą do tego karmnika? - spytał.

- Żadne. Dopóki nie wsypiesz odpowiedniego pokarmu. - Marcie nie starała się być uprzedzająco uprzejma.

- Co byś mi poleciła? - Chociaż Marcie starała się skończyć tę rozmowę, on próbował przedłużyć ją za wszelką cenę.

Niecierpliwym gestem odsunęła włosy z twarzy. W jej głosie coraz wyraźniej pobrzmiwały nutki irytacji.

- Doprawdy, panie Fowler, czy ta rozmowa jest konieczna? Czy nie ma pan czegoś naprawdę ważnego do załatwienia?

- To właśnie jest bardzo ważna sprawa. Jak sama zauważyłaś, pusty karmnik jest do niczego. Zatem... - Chance schylił się i podniósł wielką torbę karmy. - Czy tego właśnie mi trzeba?

- Tak - odparła sucho Marcie. Nie zamierzała tracić czasu na próżne gadanie. Bardzo chciała, by Fowler już sobie poszedł. - Płacisz gotówką czy czekiem?

- Gotówką.

Marcie przyjęła zapłatę, zapakowała zakupy do kartonowego pudła i starając się za wszelką cenę, by zabrzmiało to obojętnie, powiedziała:

- Do widzenia, panie Fowler.

- Do widzenia? - pochylił się ku niej. - Myślałem, że moglibyśmy wpaść gdzieś na drinka, kiedy skończysz pracę. Pozwoli mi to przeprosić cię i będziemy mogli poznać się lepiej - dodał cicho.

Z trudem wytrzymała jego spojrzenie.

- Wydaje mi się, że znamy się już wystarczająco dobrze. Do widzenia, panie Fowler.

Lecz Chance nie zamierzał poddać się tak łatwo. Czas najwyższy, by wydobył asa z rękawa. Uniósł pudełko z zakupami, uśmiechnął się do Marcie promiennie i rzucił:

- Do zobaczenia, panno Roper.

Marcie, zaskoczona i oszołomiona, długo patrzyła w ślad za oddalającą się postacią. Tak była zmieszana jego nieoczekiwaną wizytą, że zapomniała spytać, skąd zna jej nazwisko i jak ją w ogóle odnalazł. Już chciała krzyknąć za nim, zawołać, lecz szybko zacisnęła usta.

Ani na chwilę nie odrywała od niego oczu, gdy szedł przez pusty parking do samochodu. Potem, jakby wyrwana ze snu, zaczęła zamykać sklep. Wywiesiła kartkę „Zamknięte” i długą chwilę stała bez ruchu, próbując uspokoić przyśpieszony oddech.

Powoli wróciła do kasy, by dokończyć rachunki. Nagle usłyszała stukanie w szybę. To był Chance Fowler. Gestykulował żywo, przywołując ją.

- Już nieczynne! - krzyknęła, kręcąc głową.

Lecz on wciąż stukał w szybę i coraz wyżej unosił trzymany w ręce pakunek. W pierwszej chwili Marcie nie zrozumiała, o co mu chodzi. Gdy jednak dostrzegła, co Chance trzyma w dłoni, jęknęła. To była jej zguba! Jej torba z książkami. Marszcząc brwi, ruszyła w stronę wejścia do sklepu.

Zawahała się, lecz w końcu otworzyła drzwi. Jednak nie odsunęła się na bok, nie zrobiła żadnego gestu, by wpuścić gościa do środka. Potem spojrzała mu prosto w oczy.

- Jestem teraz naprawdę zajęta. O co panu chodzi?

- Wydaje mi się, że mam coś, co należy do ciebie - powiedział. - Czy mogę wejść?

Odsunęła się o krok. Chance wszedł do środka i położył torbę na kontuarze.



- Zgubiłaś to tamtego dnia. Próbowałem cię dogonić, ale zniknęłaś, nim dobiegłem do rogu. Na szczęście tu jest twoje nazwisko. - Wyjął z torby formularz zamówienia z księgarni.

Odruchowo sięgnęła po kartkę i uniosła ją do oczu.

- Myślałam, że już tych książek nie odzyskam. - W jej głosie słychać było nutki zakłopotania. - Ta - dodała i wskazała opasłe tomisko o Wojnie Secesyjnej - ma być prezentem urodzinowym dla mojego ojca. Dziękuję, że przywiozłeś mi te książki - dodała po chwili o wiele bardziej uprzejmie.

- Cieszę się, że cię odnalazłem. Pomyślałem, że przynajmniej tyle mogę zrobić. Zważywszy, że zgubiłaś to prawdopodobnie z mojego powodu. - Jej nieśmiały uśmiech sprawił, że Chance poczuł się tak, jakby wzięła go w ramiona.

Wspomnienie smaku tamtego pocałunku zawładnęło nim bez reszty. I już wiedział na pewno, że tym razem nie wolno mu przegapić okazji.

- No cóż... - Marcie zawahała się. - Tak czy inaczej, ładnie z twojej strony, że zadałeś sobie tyle trudu. Doceniam to, naprawdę.

- Na tyle, żeby dać się zaprosić na kolację? - Chance zauważył, że Marcie cała zeszywniała. Znikł gdzieś łagodny uśmiech, a na jej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

- To niemożliwe - powiedziała. - Jedna z moich pracownic zachorowała i jutro o piątej rano muszę być na giełdzie kwiatowej w San Diego. Nie mogę sobie dzisiaj pozwolić na późny powrót do domu. - Energicznym krokiem podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko. - Raz jeszcze bardzo dziękuję za zwrot książek. Dobranoc.

Chance wahał się przez chwilę.

- Dobranoc, Marcie Roper. - Uśmiechnął się do niej w sposób, który kazał jej być pewną, że jeszcze go zobaczy. - Przyjemnych snów.

Patrzyła za nim, zde gustowana. Bezczelny typ! pomyślała. Wydaje mi się, że wszyscy muszą spełniać jego zachcianki. Ale ona nie miała takiego zamiaru!

I znowu końcami palców dotknęła ust. Choćby wmawiała sobie nie wiadomo co, nie mogła zaprzeczyć, że nie była w stanie zapomnieć ani tamtego pocałunku, ani silnych ramion Chance'a.

Przyjemnych snów! Też coś!

Długie, szare cienie przedświtu dopiero zaczęły wypełzać na czarne niebo, gdy Marcie wyprowadziła furgonetkę z garażu i ruszyła do San Diego. Ziewnęła potężnie i sięgnęła po termos z kawą. Noc była stanowczo zbyt krótka, a budzik zadzwonił za wcześnie. Co prawda, miała dużo czasu, by się wyspać, ale nie mogła zmrużyć oka. Przez głowę przemykały jej tysiące myśli. O Chansie Fowlerze.

I choćby nie wiadomo jak wielkie zrobił na niej wrażenie i choćby nie wiadomo jak bardzo sama siebie za to nienawidziła, jedno wiedziała na pewno: to do niczego nie prowadziło. Chance Fowler był nieodpowiedzialnym utracjuszem z pierwszych stron brukowych magazynów. Tyle o nim wiedziała. I tylko tyle chciała wiedzieć.

Wolno wjechała na parking przy giełdzie kwiatowej. Wypiła ostatni łyk kawy i ziewnęła szeroko. Zapowiadał się długi, ciężki dzień.

Chance spojrział na zegarek. Piąta czterdzieści pięć rano. Okropna pora. Lecz były sprawy warte pewnych wyrzeczeń. Już z daleka dostrzegł furgonetkę firmy ogrodniczej z Crestview Bay i zatrzymał swoje auto w jej pobliżu. Miał za sobą bezsenność. Bez skutku usiłował wyrzucić z pamięci Marcie Roper. Jedynym efektem tych zabiegów było postanowienie, iż musi poznać ją bliżej.

Pokręcił się trochę po targowisku. Zadziwiło go panujące tam o tak wczesnej porze ożywienie. Wreszcie dostrzegł Marcie. Przyglądał się z daleka, jak podpisuje jakieś kwity. Westchnął ciężko. Nie pomogło. Żadna kobieta nie zrobiła na nim nigdy takiego piorunującego wrażenia.

Marcie zaczęła popychać z wysiłkiem wózek wyładowany kartonowymi pudłami. Chance podbiegł do niej.

- Pozwól, że ci pomogę.

Zgrabnie manewrował ciężkim wózkiem. Podążał przed siebie z kamienną twarzą, udając, że nie dostrzega jej niebotycznego zdumienia.

- Mam dziwne wrażenie, że już kiedyś pomagałem ci pchać różne ciężary. Zupełnie, jakby to było wczoraj - rzucił lekkim tonem. - Czy zdarzyło ci się kiedykolwiek podobne deja-vu?

- Co ty tu robisz?

- Myślałem, że to jasne. Pomagam ci. - Chance uniósł wieczko jednego z kartonowych pudeł. - Cięte kwiaty?

- Rzeczywiście, bardzo to dziwne. Zważywszy, że jesteśmy na giełdzie kwiatowej, a ja jestem właścicielką kwiaciarni.

- Ale masz też sklep ogrodniczy i biuro projektowe.

- Chance ostrożnie posuwał się naprzód. Marcie szła obok niego. Wciąż nie była pewna, czemu i po co tu przyjechał.

- Jedno z drugim nie ma nic wspólnego - powiedziała.

- Świeże kwiaty i bukiety to zupełnie coś innego niż projektowanie ogrodów.

- Opłacało się. - Chance uśmiechnął się szeroko.

- Co się opłacało? - spytała Marcie podejrzliwie.

- Zawsze warto dowiedzieć się czegoś nowego. Nawet o tak koszmarnej godzinie.

- Dla ciebie jest chyba trochę zbyt wczesna, prawda?

- Marcie nie potrafiła ukryć sarkazmu. - No, chyba że jeszcze nie zdążyłeś się położyć.

Chance zatrzymał się. Wsparł się o wózek i spojrzał na

Marcie ze zdumieniem. Twarz mu stężała, przypominając obojętną maskę. Tylko w oczach pojawił się na chwilę cień smutku.

Marcie natychmiast pożałowała swoich słów. Osądzała go zbyt pochopnie i nic tego nie usprawiedliwiało. Spuściła oczy.

- Ja... przepraszam - bąknęła. - Nie powinnam była tego mówić. To nie było w porządku.

- Tak, to nie było w porządku. - W głosie Chance'a nie brzmiała złość. Raczej zakłopotanie. - Dlaczego to zrobiłaś?

- Bo... - Strach ścisnął żołądek Marcie. Powinien być na nią zły. A tymczasem wyglądało na to, że go zraniła. - Musisz przyznać, że nie masz najlepszej reputacji. - Poczowała, że po jej policzkach rozlały się gorące rumieńce. - Spadkobierca wielkiej fortuny, członek śmietanki towarzyskiej, powszechnie znany kobieciarz i hulaka.

- Słuchając ciebie, można dojść do wniosku, że posiadanie zamożnych rodziców jest swego rodzaju grzechem. Albo jeszcze gorzej - jakąś straszliwą chorobą.

- Nie chciałam, by tak to zabrzmiało. Ale twoje wyczyny zostały dokładnie opisane przez gazety.

- No nie! - Chance pchnął naprzód wyładowany wózek. - Jesteś czytelniczką kolorowych magazynów?

- Nie. Ja tylko przeglądam czasami nagłówki, stojąc w kolejce do sklepowej kasy. Tak jak inni.

- Zawsze wierzysz we wszystko, co piszą gazety?

- No, nie... Ale...

- Rozumiem - mruknął strapiony Chance. - Zazwyczaj nie wierzysz we wszystko, co czytasz. Jednak dla mnie postanowiłaś zrobić wyjątek.

Marcie wiedziała, że miał rację. Lecz nie zmieniła zdania.

- Bez wątplenia jesteśmy ulepieni z innej gliny, prawda? Ty masz swój styl życia, ja mam swój - powiedziała.

- Zabrzmiało to tak, jakby „styl życia” oznaczało jakieś przykre schorzenie. - Szelmowski uśmiezek przemknął po wargach Chance'a. - Dokąd zmierzamy?

- Dokąd zmierzamy z czym? - Czy chodziło mu o rozmowę? A może o sytuację, w jakiej się znaleźli? W mgnieniu oka Chance przeszedł od zaniepokojenia do rozbawienia. Marcie pogubiła się zupełnie.

- Dokąd zmierzamy z tym wózkiem? Wyjeżdżamy, czy masz tu jeszcze coś do załatwienia?

- Już skończyłam zakupy. Zatem... - Marcie chwyciła uchwyt wózka. - Dziękuję za pomoc. Dalej sama sobie poradzę.

- Pomogę ci wyładować te pudła. - Chance pchnął wózek i skierował go energicznie na parking.

- Chwileczkę! - krzyknęła, biegnąc za nim. - Doprawdy, panie Fowler, potrafię dać sobie radę. - Ze wszystkich sił starała się, by zabrzmiało to stanowczo.

Ale Chance w ogóle nie zwrócił na nią uwagi. Zatrzymał się obok furgonetki i spróbował otworzyć drzwiczki.

- Kluczyki? - wyciągnął dłoń.

Marcie zawahała się, lecz otworzyła auto. Nie minęło kilka minut i wszystkie pudełka były już wewnątrz. Chance oparł się o maskę samochodu. Przyglądał się, jak Marcie nerwowo przestępuje z nogi na nogę.

Spotkali się trzy razy. I już trzy razy uciekała przed nim, ignorowała go, była dla niego niemiła, odrzuciła jego zaproszenie i obrzuciła go kalumniami. Nie znajdował żadnego logicznego uzasadnienia dla swojego postępowania. Przecież nie musiał tu przyjeżdżać!

Zawładnęła nim jednak bez reszty. Jak nikt przedtem. Miała w sobie coś niepowtarzalnego. Była absolutnie inna niż wszystkie znane mu dotąd kobiety.

- No cóż. - Marcie nerwowo zacisnęła dłoń. - Jeżeli mi wybaczysz.

- Zapraszam cię na kawę. - Chance uśmiechnął się zachęcająco.

- To niemożliwe, panie Fowler. Mam w samochodzie cięte kwiaty, nie krzewy. Muszę jak najszybciej zawieźć je do sklepu i zamknąć w chłodni.

- W porządku. Możemy napić się kawy, gdy już uporasz się z kwiatami. I, proszę, mów mi po imieniu. Pan Fowler to mój staruszek. Jedyny i niepowtarzalny Douglas Winston Fowler.

- Miałabym używać przezwiska, którym ochrzcili cię dziennikarze?! - zawołała Marcie. - „Łap Okazję” Fowler, zawsze gotów do nowej przygody.

Zamilkła nagle, gdyż dostrzegła w jego spojrzeniu cień bólu. Jak wtedy, gdy nazwała go hulaką.

Odwrócił głowę i milczał przez moment. Potem spojrzał jej prosto w oczy.

- Chance to moje prawdziwe imię. Otrzymałem je na chrzcie. Tak brzmiało panieńskie nazwisko mojej matki.

- Bardzo przepraszam. Nie wiedziałam.

- Mniejsza z tym - powiedział cicho.

Marcie usłyszała, co powiedział, lecz nie uwierzyła mu. Choć niechęć, jednak go zraniła.

- Wydawało mi się... - zaczęła.

- To chyba twoje ulubione zajęcie. - W słowach Chance'a nie było złości czy gniewu. Tylko żal. Marcie poczuła wyrzuty sumienia. Wiedziała, że nie była w porządku. Co więcej, zachowała się okropnie.

- Masz rację. - Z jej tonu zniknęły wrogie nuty. - Zdarza mi się to dość często. Bardzo mi przykro. Przepraszam za ten nietakt z twoim imieniem. Nie chciałam cię urazić - dodała ciszej.

- Powiem ci coś, Marcie Roper. - Pogłaskał ją po policzku. Zajrzał w głąb szeroko otwartych oczu. Ujrzał tam niepewność, obawę i jeszcze coś. Ciepło i namiętność. Natychmiast cofnął rękę. - Wieczorem, kiedy skończysz pracę, pojedziesz ze mną na drinka i zakończymy sprawę.

- No, sama nie wiem. - Marcie wbiła wzrok w ziemię.

- Tak już lepiej. Nie odrzuciłaś mojego zaproszenia. Wciąż jeszcze możemy negocjować. - Ujął ją pod brodę.

- Może więc spróbujemy pójść jeszcze o krok dalej? Czy zgodzisz się zjeść dziś ze mną kolację?

- Szybki jesteś! - Marcie uśmiechnęła się blado. - Jeszcze niedawno miała być kawa. Chwilę potem drink. Teraz już kolacja.

- Powinnaś od razu zgodzić się na kawę. Teraz jest już za późno. Poza tym jesteś mi coś winna. - Chance dostrzegł sprzeciw w jej oczach, więc dodał szybko: - Jesteś mi winna szansę udowodnienia ci, że miałaś o mnie zupełnie błędne wyobrażenie.

Uśmiechnął się.

- Nie możesz przecież odebrać mi konstytucyjnego prawa do niewinności, aż do momentu udowodnienia winy, prawda? - dodał.

- Coś mi się zdaje, że rzeczywiście coś ci jestem winna - odpowiedziała Marcie niepewnie.

- Świetnie. - Twarz Chance'a pojaśniała z zadowolenia. - O której kończysz pracę? Kiedy mam po ciebie przyjechać? I dokąd? Do sklepu czy do domu?

- Nie. To znaczy: sądzę, że będzie lepiej, gdy spotkamy się gdzieś w mieście. - Marcie nie potrafiła uciec od własnych obaw. Znow uległa powszechnym stereotypom. Chance miał rację. To był zły nawyk. Powinna coś z tym zrobić.

- W porządku - powiedział po chwili wahania. - Co powiesz na „Crestview Bay Bistro”? Karmią tam całkiem nieźle, jest przyjemna atmosfera i wspaniały widok na ocean.

- Doskonale. Może być. O której?

- Sama zdecyduj. Nie znam twojego rozkładu dnia.

Marcie myślała gorączkowo. Bez chorej Sandy nie skończy pracy tak szybko.

- Może być siódma? - spytała. - Odpowiada ci?

- Świetnie! - Chance uśmiechnął się radośnie. - Zarezerwuję stolik. -

Wyciągnął rękę i delikatnie uściśnął dłoń Marcie. - Do zobaczenia wieczorem.

Spoglądała za oddalającą się postacią, pełna obaw. Czuła zimną obrycz strachu wokół gardła. A przecież wiedziała na pewno, że nie boi się tego mężczyzny. Czyżby więc bała się własnych uczuć?

Chance wsiadał właśnie do samochodu, gdy dostrzegł furgonetkę Marcie opuszczającą parking. Przyglądał się jej w zadumie. Nie potrafił wytłumaczyć sobie, co tak bardzo pociągało go w tej kobiecie. Była bardzo atrakcyjna, to prawda. Lecz to nie było to. W każdym razie chodziło o coś więcej niż tylko o fizyczny pociąg. Inna rzecz, że wcale nie był pewien, czy chce poznać prawdziwą odpowiedź na to pytanie.

Po raz pierwszy w życiu miał wrażenie, że balansuje na cienkiej linie. Stawką w tej grze mógł być bardzo poważny związek.

## ***ROZDZIAŁ TRZECI***

Chance przyjechał do restauracji prawie pół godziny przed czasem. Usiadł przy stoliku w ustronnym kącie baru i zamówił piwo. Miał za sobą ciężki dzień. Zaczęło się od porannego telefonu. Gdy tylko wrócił do domu z giełdy kwiatowej, zadzwonił Hank Varney z wiadomością, że jeden z wychowanków znów wpadł w tarapaty.

Prawdę mówiąc, Chance nie był tym zbyt zaskoczony. Ale zirytowało go to, że Jeff znowu został złapany na próbie kradzieży samochodu. Nigdy nie oczekiwał stuprocentowego powodzenia swojego programu edukacyjnego, ale ilekroć któryś w wychowanków wracał za kratki, Chance traktował to jako osobistą porażkę.



W takich sytuacjach stawał mu przed oczyma ojciec. Kiedy Chance wpadł na pomysł, żeby zorganizować szkolenie zawodowe dla nastolatków, których wyrzucono ze szkół lub którzy weszli w konflikt z prawem, jego ojciec sprzeciwił się temu stanowczo.

- Nie wolno ufać takim wyrzutom. Wykorzystają cię i jeszcze na koniec okradną. Nie dostaniesz ode mnie ani grosza.

Wciąż dźwięczały mu w uszach tamte słowa, chociaż minęło już pięć lat. Nigdy więcej nie rozmawiał z ojcem na ten temat. Może na mniejszą skalę, ale jednak wprowadził swój zamysł w życie. Założył niedochodową fundację. Potem znalazł dwóch przedsiębiorców budowlanych - w San Diego i w San Francisco - i namówił ich do współpracy. Wreszcie, używając całego swego czaru i siły perswazji, zjednał do swojego pomysłu urzędników miejskich i stanowych. To była najtrudniejsza część planu. Musiał przekonać ich, że nie jest zepsutym, rozkapryszonym synalkiem potężnego magnata.

Potem kupił stary, niszczejący dom. Wytypowani przez urzędników młodzi ludzie pod kierunkiem fachowców z firm budowlanych odnowili go i wyremontowali. Dom został sprzedany, a pieniądze przeznaczone na kupno następnych ruder do odbudowy. I na niewielkie wynagrodzenia dla uczniów, którzy, po zdobyciu zawodu, mieli szanse na znalezienie stałej, dobrze płatnej pracy.

I tak już od pięciu lat wszystko szło zgodnie z oczekiwaniami. Choć zdarzało się, od czasu do czasu, że któryś z wychowanków uległ pokusie łatwego zarobku. Chance wiązał z Jeffem wiele nadziei. Z tym cięższym sercem opuszczał tego popołudnia więzienie po rozmowie z chłopakiem. Nie było w Jeffie ani odrobiny żalu czy skruchy. Ta porażka była dla Chance'a szczególnie bolesna.

Lecz nie był to jeszcze koniec złych wieści tego dnia. Tuż przed wyjściem z domu na spotkanie z Marcie odebrał przesłaną pocztą elektroniczną wiadomość. Pociągnął łyk piwa i rozpostarł zadrukowaną kartkę papieru.

Marcie zjawiała się punktualnie o siódmej. Miała bardzo mało czasu, by pojechać do domu, wziąć prysznic i przebrać się. Ale zdążyła.

Chance siedział przy ustronnym stoliku i czytał coś w skupieniu. Z wyrazu jego twarzy Marcie wywnioskowała, że lektura nie była przyjemna. Jakieś kłopoty, pomyślała.

- Dobry wieczór. - Wolno podeszła do stolika.

Na jej widok Chance uśmiechnął się, przegonił troski i zmartwienia.

- Witaj! - zawołał radośnie. - Nie sądziłem, że już siódma.

Zarezerwowałem dla nas stolik.

Przeszli do sali jadalnej i usiedli przy oknie, za którym lśnił ocean. Gdy Marcie przeglądała kartę, Chance wybrał wina. Potem usiadł wygodniej i przyglądał się jej uważnie.

- Ślicznie wyglądasz - powiedział po chwili. - Do twarzy ci w tej bluzeczce. Jej kolor wspaniale podkreśla barwę twoich oczu. - Pochylił się. - A oczy masz cudowne.

Marcie zarumieniła się.

- Jesteś w tym naprawdę dobry. - Miała nadzieję, że zdoła opanować drżenie głosu. - Potrafisz zawsze znaleźć słowa stosowne do okoliczności. Ale, jak sądzę, masz w tym wielkie doświadczenie.

- Znów przypuszczenia? - Uśmiechnął się. - Uważam, że masz cudowne oczy, więc powiedziałem to. Nie było w tym żadnych dwuznaczności czy podstępów.

Kelner przyniósł wino. Marcie wypić mały łyżeczek trunku. Bawiła się kieliszkiem, sunąc wolno palcem po jego krawędzi. Przedłużające się milczenie zaczynało jej ciążyć. Pomyślała, że nie powinna była godzić się na to spotkanie. Zbyt wiele ich dzieliło i różniło.

Chrząknęła nerwowo. Czowała, że powinna odezwać się, powiedzieć coś. Cokolwiek.

- Kiedy przyjechałam, czytałeś coś w tak wielkim skupieniu, że bałam się ci przeszkodzić. Mam nadzieję, że nie były to jakieś złe nowiny.

- Cóż... - Chance uniósł kieliszek do ust. - Chyba można powiedzieć, że było to godne zwieńczenie pełnego kłopotów dnia.

- Poczynając od pobudki o nieprawdopodobnie wczesnej godzinie?

- Niezupełnie. - Chance uśmiechnął się z przymusem. Pochylił się nad stolikiem i ujął dłoń Marcie. Spojrzał jej prosto w oczy i szczerze powiedział: - To były najlepsze chwile tego dnia. Aż do teraz.

Marcie odwróciła oczy. Uwolniła dłoń i sięgnęła po kieliszek.

- Bardzo przyjemny wieczór - powiedziała. Gdy Chance nie odpowiedział, spojrzała w jego stronę. Miał ten sam wyraz twarzy, który zauważyła, gdy weszła do restauracji. Myślami był miliony lat świetlnych stąd. Znowu nabrała wątpliwości, czy powinna mu przeszkadzać.

- Czy stało się coś złego? Wyglądasz na zmartwionego.

Drgnął, jak wyrwany ze snu. Tak pograżył się w myślach, że stracił poczucie czasu i miejsca. Westchnął ciężko i odchylił się na oparcie krzesła.

- Przepraszam. To był naprawdę okropny dzień.

- Może ci w czymś pomóc? - Marcie zawstydziła się własnych słów. - Bardzo przepraszam. Nie chciałam być natrętna. Wiem, że to nie moja sprawa.

- Nic się nie stało. - Chance nie miał ochoty rozmawiać o aresztowaniu Jeffa.

Starannie utrzymywał w sekrecie swoje związki ze „szkołą życia”. To była jego prywatna sprawa. Wyjął z kieszeni wydruk komputerowy i podał jej. - I tak na pewno napiszą o tym jutro we wszystkich porannych gazetach - powiedział.

Rozłożyła papier i szybko przeczytała. Była to wiadomość od Douglasa Fowlera, w której informował syna, że poprzedniego dnia ożenił się i następnego dnia zamierza spędzić na Riwierze Francuskiej.

Z zakłopotaniem oddała mu kartkę. Widać było, że nie pojęła znaczenia tej informacji.

- Nie chodzi o to, że staruszek ożenił się, nie zapraszając nawet na ślub swojego jedyne go syna. Rzecz w tym, że to już jego szóste małżeństwo. Piąta pani Douglasowa Fowler nie przetrwała u boku ojca nawet roku.

- Żartujesz! - wykrzyknęła zaskoczona. - Twój ojciec ożenił się po raz szósty?!

- Ta ostatnia żona ojca jest młodsza ode mnie. Może się założymy, jak długo to małżeństwo potrwa?

- Dlaczego ktoś żeni się aż sześć razy?

- Oto wspaniałe pytanie! Niestety, nie mam zielonego pojęcia. - Chance zmarszczył brwi, lecz zaraz przywołał na twarz uśmiech. - Każdy ma jakieś hobby. Myślę, że mój ojciec ma właśnie takie. - Mimo starań Chance'a nie zabrzmiało to lekko i swobodnie. - Widzisz, moja rodzina jest raczej karykaturą normalnej rodziny.

Resztki uśmiechu zniknęły z jego twarzy. Ze wzrokiem wbitym gdzieś w przestrzeń za oknem, mówił bardziej do siebie niż do Marcie:

- Ale wyciągnąłem z tego jedną bardzo ważną naukę. Że małżeństwo nie jest warte więcej niż świstek papieru, na którym wydrukowano zaświadczenie o zawarciu związku.

- To dość cyniczny pogląd, nie sądzisz?

Chance drgnął i spojrzał na nią, jakby zaskoczony jej obecnością.

- Czyżby? A jakie jest twoje zdanie?

- A co z twoją mamą? - Marcie wymigała się od odpowiedzi. Nie chciała być natrętna, lecz chęć poznania prawdziwego Chance'a Fowlera była silniejsza.

- Ach! Chodzi ci o pierwszą panią Douglasową Fowler. - Usłyszała nowe, łagodniejsze tony w jego głosie. - Moja matka zmarła piętnaście lat temu, kilka dni po moich dwudziestych pierwszych urodzinach. Do dziś nie potrafię zrozumieć, jak to się mogło stać, że rodzice w ogóle zdecydowali się na wspólne

życie. Prócz tego, że pochodzili z tej samej warstwy społecznej i ekonomicznej, nie łączyło ich absolutnie nic. Matka bardzo ceniła rodzinę i przyjaciół. Wolą dać, niż brać. Ojciec... - Głos Chance'a stwardniał - ...nade wszystko ceni pieniądze i władzę.

- A ty? Co ty cenisz najbardziej? - spytała.

Spojrzał jej w oczy. Ciepłym i bardzo serdecznym wzrokiem. I wtedy zjawiał się kelner. Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Ku zaskoczeniu Marcie, był to bardzo miły wieczór. Czas płynął szybko i nadeszła pora powrotu do domu. Chance zapłacił rachunek i elegancko pomógł jej wstać. Objął ją delikatnie i poprowadził do wyjścia. Gdy znaleźli się na zewnątrz, Marcie zatrzymała się. Przymknęła oczy i głęboko wciągnęła do płuc chłodne powietrze znad oceanu.

- Ależ cudownie. Tam, w restauracji, zaczynałam się już robić senna. Świeże powietrze wspaniale orzeźwia.

- Naprawdę nie chciałem cię aż tak bardzo zanudzać.

- Och, nie! Nie to miałam na myśli. - Przestraszona Marcie odwróciła się ku niemu. I dostrzegła łobuzerski uśmieszek. Odpowiedziała ciepłym uśmiechem. - Kolacja była urocza. Dziękuję.

Księżycowy blask migotał na pomarszczonej powierzchni oceanu. Zdobił krajobraz srebrną poświatą. Łagodny wietrzyk rozwiewał włosy Marcie.

- Dziękuję, że zechciałaś spędzić ten wieczór ze mną. To była dla mnie wielka przyjemność.

Ujął jej twarz w dłonie i pocałował rozchylone wargi. Delikatnie i szybko, jakby musnęło je skrzydło motyla. A przecież to wystarczyło, by natychmiast przypomniał się jej tamten pocałunek.

Kiedy szli do samochodu, trzymał ją za rękę. Milczeli. Gdy Marcie wsunęła się za kierownicę, nachylił się i powiedział:

- Czy będzie wielkim nietaktem z mojej strony, jeżeli wproszę się teraz do ciebie na drinka?

- No... - Marcie czuła dziwną, magiczną siłę, która ciągnęła ją ku niemu.

- To był tak cudowny wieczór, że żał byłoby skończyć go tak wcześnie. -  
Znów musnęła jej wargi szybkim pocałunkiem.

- Dlaczego nie - bąknęła. - Tylko nie na długo. Marcie pojechała przodem.  
Chance za nią.

Mieszkała w małym, dość starym, lecz zadbanym domku, w niewielkiej odległości od jej sklepu. Otworzyła drzwi i zaprosiła Chance'a do salonu.

- Rozgość się - powiedziała - a ja naleję wino.

Wyszła do kuchni, a Chance z uwagą rozglądał się dookoła. Wnętrze urządzone było ze smakiem. Emanowało przytulnym ciepłem mieszkającej tu kobiety. To był prawdziwy dom. Nie tylko budynek, dach i ściany. Chance ze smutkiem pomyślał o wszystkich swoich mieszkaniach i domach. Były eleganckie, lecz zimne i nieprzytulne.

Postanowił obejrzeć całe mieszkanie. Zajrzał do sypialni i jadalni. Wyrzwał przez okno na urocze patio. W drzwiach kuchni natknął się na Marcie. Podała mu kieliszek i oboje wrócili do salonu. Włączyła radio i z głośników popłynęła łagodna muzyka.

- Widzę kominek, a w kącie patio zauważyłem stos drewna. Może chcesz, żebym rozpałił ogień? - Chance liczył na to, że w ten sposób zdoła przedłużyć wizytę.

- Nie. Chyba jest już zbyt późno - odpowiedziała Marcie nerwowo. Wyobraziła sobie ich razem przy ogniu płonącym na kominku. Jego usta rozpalają jej wargi gorącymi pocałunkami. Wystraszyła się tego, co mogłoby zdarzyć się potem.

Usiadła w fotelu, by nie być zbyt blisko Chance'a.

- Nieźle fotografie. - Chance wskazał wiszące na ścianach, oprawione w ramki zdjęcia. - Sama je zrobiłaś?

- Tak. Pokazują moją pracę.

- Są bardzo dobre.

- Dziękuję. Miałam lekcje fotografii w szkole. Kiedyś wydawało mi się, że mogłabym zrobić karierę jako fotoreporterka. Chciałam pracować dla „National Geographic” czy innego podobnego magazynu. Ale, tak naprawdę, to zajęcie nie dla mnie. Odziedziczyłam po babci dość pieniędzy, żeby kupić kwaciarnię i sklep ogrodniczy i tak już zostało. Ten dom też należał do niej. Mieszkam tu od dawna.

Chance słuchał jej w skupieniu.

- Czy miałaś kiedykolwiek wrażenie, że straciłaś coś, że zmarnowałaś szansę? - spytał. - Nie myślałaś nigdy, że trzeba było jednak zaryzykować, zamiast poprzestawać na tym, co masz?

- Wcale nie mam wrażenia, że z czegoś zrezygnowałam. Jestem tu szczęśliwa. Odpowiada mi to, co mam. Poza tym, jest dla mnie bardzo ważne posiadanie domu i łączących mnie z nim korzeni.

- Nie chciałem powiedzieć, że powinnaś żałować dokonanego wyboru. Zastanawiałem się tylko, dlaczego nie zrealizowałaś swoich marzeń. Sądząc po twoich fotografiach, mogłabyś odnieść wielki sukces.

Marcie w zamyśleniu przyglądała się wiszącym na ścianach zdjęciom.

- Tak to się jakoś potoczyło - powiedziała smutno.

- Wiele już wiesz o mojej rodzinie. Ja też chciałbym się czegoś o tobie dowiedzieć. Wiem, że twój ojciec lubi książki o wojnie secesyjnej i że mieszkałaś tutaj z babcią. A co z mamą? Czy masz rodzeństwo?

- Mama umarła, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Właściwie wychowywała mnie babcia. Rodzice przeprowadzali się bardzo często. Tata miał taką pracę. W końcu mama uznała, że lepiej mi będzie u babci.

Podniosła się z fotela i zaczęła krążyć po pokoju. Z nieobecny spojrzeniem poprawiała ustawienie przedmiotów, które nie wymagały poprawienia. Widać było, że rozmowa stała się dla niej krępująca i niezręczna. Chance rozumiał to doskonale. Sam miewał podobne odczucia, gdy rozmowa schodziła na temat jego rodziny.

W pewnej chwili dostrzegł, że Marcie z trudem usiłuje stłumić ziewnięcie. Ale nic w tym dziwnego. Przecież już o piątej rano była na giełdzie kwiatowej, a potem cały dzień pracowała.

- Chyba już pójdę - stwierdził. - Powinnaś trochę odpocząć. - Wstał i odniósł pusty kieliszek do kuchni.

Marcie stłumiła kolejne ziewnięcie i uśmiechnęła się przepraszająco.

- Mam za sobą naprawdę męczący dzień - powiedziała. Targały nią sprzeczne uczucia. Wiedziała, że najlepsze, co mogła zrobić, to pozwolić mu odejść. Był człowiekiem, którego ani nie potrzebowała, ani nie podziwiała. Zbyt długo i ciężko pracowała na dobre imię swojej firmy. Nie mogła pozwolić na to, by zaczęto łączyć jej nazwisko z człowiekiem, który był częstym gościem pierwszych stron brukowców.

Lecz z drugiej strony odczuwała w obecności Chance'a tak dziwne i silne emocje, że taka decyzja sprawiała jej prawdziwy ból. Zaciśnęła szczęki, by zapanować nad sobą. Nie mogła przecież pozwolić, żeby fizyczna fascynacja tym mężczyzną miała wpływ na jej życie.

Chance ujął ją za rękę.

- Przez chwilę wyglądałaś na bardzo zmartwioną. Czy stało się coś złego?

- Nie. Jestem tylko trochę zmęczona. To wszystko. - Marcie spróbowała się uśmiechnąć.

Chance uniósł do ust jej dłoń i pocałował.

- Do zobaczenia. - Spojrzał jej głęboko w oczy. Najchętniej wziąłby ją w ramiona i obsypał pocałunkami. - Czy spotkasz się ze mną jutro wieczorem? Moglibyśmy pójść do kina albo na tańce, lub dokądkolwiek zechcesz.

Marcie prawie wyrwała rękę z jego dłoni. Dotyk Chance'a odbierał jej zdolność myślenia. Musi zmobilizować wszystkie siły i zdolności, by chronić to, co jest dla niej najważniejsze: dom i życie rodzinne.

- Dziękuję, ale nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

- Czemu? - Chance ponownie ujął ją za rękę.



- Bo... my zupełnie do siebie nie pasujemy. Należymy do całkiem innych światów.

- A ja uważam, że pasujemy do siebie bardziej, niż ci się zdaje. - Objął ją i pocałował. Mocno i zachłannie. Żar, który tlił się gdzieś pod powierzchnią, wybuchnął nieokiełznanym płomieniem namiętności. I choć Marcie obiecywała sobie zupełnie coś innego, uległa. Zarzuciła mu ręce na szyję i przyłgnęła do jego warg.

Nie na długo. Z głębi świadomości dotarło do niej ostrzeżenie, że nie powinna tego robić. Nie z tym człowiekiem. Opuściła ręce i oparła o jego pierś. Poczula silne bicie jego serca. Odsunęła się, cofnęła o krok i spojrzała mu w oczy. Zadrżała.

Chance nie chciał jej uwolnić. Lecz po chwili rozluźnił uścisk. Marcie szybko cofnęła się jeszcze o krok.

Zauważył lęk i niepewność w jej oczach.

Ale też zaróżowione policzki i wilgotne, rozchylone usta. Podeszedł bliżej i pogłaskał ją po twarzy.

- To co z jutrzejszym wieczorem? - spytał. - Kino? Przyjadę po ciebie o siódmej.

- Nie. - Jej głos nieco drżał. - Ja, hm... - Potrząsnęła głową. - Nie. Jutro nie mogę się z tobą spotkać. - Podeszła do drzwi. Musiała dopilnować, by jak najszybciej opuścił jej dom. Zanim ona straci nad sobą panowanie.

- Dziękuję za kolację. Było naprawdę bardzo przyjemnie - powiedziała bezbarwnym głosem.

- Tak. Ja też tak uważam - odparł smutno Chance.

- Nie chcesz umówić się ze mną na jutro, a teraz wyrzucasz mnie za drzwi. Boję się nawet pomyśleć, co byś zrobiła, gdybyś nie była zadowolona.

Po raz pierwszy w życiu Chance znalazł się w takiej sytuacji. Oto spotkał kobietę obdarzoną niezwykłymi cechami. Wyglądało jednak na to, że to, co

podobało mu się w niej najbardziej, czyli niezależność i zdecydowanie, będą źródłem jego kłopotów.

- Rzeczywiście, czas już na mnie - zauważył. Z pewnym wysiłkiem przywołał na twarz pogodny uśmiech.

- Dziękuję za dzisiejszy wieczór. Dla mnie była to naprawdę wielka przyjemność. Może kiedyś uda się nam to powtórzyć.

Odwrócił się i wyszedł. Nie obejrzał się za siebie ani razu.

Marcie zamknęła drzwi, zgasiła światło i z zamkniętymi oczami oparła się o ścianę. Pragnęła zawołać Chance'a. Chciała, by wrócił i rozpałił ogień na kominku. By z nią został. Lecz nie wykonała żadnego ruchu.

Jak wielokrotnie w ciągu ostatnich dni, ponownie przyłożyła palce do ust. I znów przeniknął ją żar tamtego pocałunku. Przeczynała, że Chance Fowler mógłby stać się częścią jej życia. Ale nie mogła na to pozwolić. Dobrze знаła ten typ mężczyzn. Wywierali piorunujące wrażenie na otoczeniu. A potem, gdy dopadała ich nuda, odchodzili, zostawiając za sobą tylko zgliszcza.

Przez długą chwilę Chance siedział bez ruchu w samochodzie. Widział, jak zgasło światło w salonie i zapaliło się w sypialni. Marcie zrobiła na nim zbyt wielkie wrażenie, by mógł ją zlekceważyć. Lecz, co ważniejsze, wcale tego nie chciał. Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby mogli być razem. Trzeba coś wymyślić.

Włączył silnik. W głowie zaświtała mu pewna myśl. W drodze do domu zaplanował wszystkie szczegóły. Im bardziej plan nabierał rumieńców, tym bardziej mu się podobał. Będzie miał kolejne zadanie dla swoich wychowanków, a przy okazji sprawi, że Marcie będzie musiała widywać się z nim. I w ten sposób, być może, zdoła udowodnić jej, jak fałszywy jest jego obraz, przedstawiany w brukowcach.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Wielki odrzutowiec dotknął kołami pasa startowego lotniska w San Francisco. Chance wyjrzał przez okienko. Przyleciał na spotkanie ze Scottem Blakiem, właścicielem firmy „Scott Construction”. Kupił właśnie następny zniszczony dom, tym razem w Oakland, by zatrudnić przy nim kolejną grupę swoich podopiecznych.

- Chance, jak miło znów cię zobaczyć! - Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- Jak minął lot?

- Szybko, czyli tak, jak powinien. Co u Katherine i dzieciaków?

Wkrótce jechali już na północ, w stronę Oakland.

Pół godziny później znaleźli się przed zbudowanym w latach dwudziestych piętrowym domem. Długo chodzili po pokojach. Chance mówił, co powinno być zrobione. Scott od razu rozważał techniczną stronę tych planów. Potem usiedli, by zapisać wszystkie szczegóły i uzgodnić harmonogram prac.

- Chciałbym, jeśli to możliwe, żebyśmy skończyli przed Bożym Narodzeniem - powiedział Chance. - Zostało więc tylko pięć tygodni. Dasz sobie radę?

Scott zastanawiał się przez moment, studiując uważnie notatki.

- Nie widzę problemu - odparł po chwili. - Konstrukcja domu jest solidna. Dach był wymieniany pięć lat temu. W najgorszym stanie jest kuchnia i instalacja elektryczna. Ale reszta to tylko kosmetyka. Tutaj masz kosztorys. - Podał Chance'owi kartkę. - Jutro prześlę ci resztę szczegółów. Jeśli nie będziesz miał żadnych uwag, natychmiast możemy podpisać kontrakt.

- Świetnie! Czy wszyscy uczniowie zgłosili się do ciebie? Wypełnili i podpisali wymagane dokumenty?

- Tak, wszystko jest już gotowe. Możemy zaczynać choćby zaraz. -  
Wrócili do samochodu. - Zostaniesz w mieście na dłużej? Katherine zaprasza cię na kolację, jeśli tylko znajdziesz czas.

- Niestety, nie tym razem. Za dwie godziny mam samolot. Wieczorem muszę być w San Diego. Jestem umówiony z pośrednikiem. Kazałem mu znaleźć następny dom. Hank Varney kończy już roboty i chciałbym zacząć następne, kiedy tylko będzie to możliwe.

Scott przyglądał się mu w zadumie. Po chwili powiedział:

- Wiesz, Chance, naprawdę trzeba jakoś uciszyć ten szum, który gazety robią wokół twojej osoby. Dlaczego nie ujawnisz tego, że założyłeś fundację? To, co wypisują o tobie różne szmatławce, jest po prostu wstrętne.

- Nie ma mowy. Moi chłopcy i tak mają dosyć kłopotów bez natrętnych pismaków i fotografów. Nie wolno nam narażać ich prywatności. - W tej kwestii Chance od lat był nieprzejednany.

W drodze na lotnisko uzgodnili ostatnie szczegóły i wkrótce Chance znów był w San Diego. Jadąc do domu, wrócił myślami do Marcie Roper.

Miał nadzieję, że pośrednik znalazł już coś odpowiedniego. A on z samego rana przystąpi do realizacji swojego planu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Marcie nie będzie już mogła go unikać.

Sobotni poranek, jak zwykle, upływał Marcie w sklepie. Odkąd w poniedziałek wyprosiła Chance'a Fowlera ze swojego domu, nie słyszała o nim więcej. Na szczęście miała mnóstwo pracy. Szykowała się do świąt.

Gorzej było nocami. Kiedy nie była zajęta, jej myśli wracały do Chance'a. Stawało jej wtedy przed oczami tamto zdjęcie z gazety, z dziewczyną w bikini, zalotnie patrzącą mu w oczy.

Przez pierwsze dni powtarzała sobie, jak bardzo cieszy ją fakt, że Chance nie próbował zobaczyć się z nią i nawet nie dzwonił. Okłamywała samą siebie! Z każdą mijającą chwilą czuła się coraz bardziej osamotniona i porzucona. Nie rozumiała tych uczuć i tym bardziej jej to ciążyło.

Próbowała tłumaczyć sobie, że po prostu, jak zwykle przed Bożym Narodzeniem, popada w melancholię. Z rodziny pozostał jej na świecie tylko ojciec w oddalonym o trzy tysiące kilometrów Illinois. Owszem, miała wielu przyjaciół. Ale w święta samotność zawsze dokuczała jej wyjątkowo dotkliwie. Tak jak i tej soboty, spędzanej pośród choinkowych ozdóbek i świątecznych stroików.

Znów przyszedł jej na myśl Chance. Z tego, co zdążyła się o nim dowiedzieć, wynikało, że jego życie rodzinne także nie było usłane różami. Być może nie przesadzał, mówiąc, że mają więcej wspólnego, niż początkowo sądziła.

Wzdrygnęła się. Odrzuciła tę myśl. Nie mamy nic wspólnego i już! pomyślała. Dlaczego więc Chance Fowler nieustannie gościł w jej myślach? Czemu, mimo wszystko, musiała przyznać, że nie miałyby nic przeciw kolejnemu z nim spotkaniu?

Z ciężkim westchnieniem wróciła do rzeczywistości. Cały dzień przez sklep przewijał się nieskończony tłum klientów. Dopiero tuż przed zamknięciem znalazła chwilkę, by usiąść i odetchnąć.

- Marcie! - W drzwiach na zaplecze stał Glen. - Don i ja wybieramy się dziś na mecz koszykówki. Miałybyś coś przeciw temu, żebyśmy już teraz zaczęli szykować wszystko do zamknięcia?

- Ależ skąd! - Marcie uśmiechnęła się. - Myślę, że na dzisiaj wystarczy. Wiesz co - dodała, wstając - umyćcie się już i pędźcie. Ja sama wszystko pozamykam.

- Dzięki, Marcie. - Glen uśmiechnął się radośnie. - Do zobaczenia rano - dodał i zniknął.

Marcie uporządkowała sklep i zaplecze, pożegnała Glena i Dona, a potem pozamykała bramy gospodarcze. Miała właśnie zamknąć główne wejście, gdy zobaczyła wysiadającego z samochodu Chance'a Fowlera.

Serce zaczęło bić jej jak oszalałe. Z trudem starała się oddychać równo i spokojnie. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, że tęskniła za nim tak bardzo. Słaby wietrzyk znad oceanu muskał jego włosy.

Czyż jakakolwiek kobieta mogła mu się oprzeć?

Chance wszedł do środka. Wnętrze sklepu zrobiło się nagle małe i duszne. Jakby je rozsadzała kipiąca w przybyszu energia. Marcie stała nieporuszona. Odetchnęła głęboko. Nie pomogło. Wystarczyło, że Chance się uśmiechnął i natychmiast zmiękła jak rozgrzany wosk.

- Tęskniłaś za mną przez te cztery dni? Pięć, jeśli liczyć dzisiejszy?

W kącikach jego warg błędził szelmowski uśmieszek. W oczach migotały łobuzerskie ogniki. Choć Marcie próbowała wmawiać sobie, że jego pewność siebie działa jej na nerwy, wiedziała, że tak nie jest.

- Och! To już cztery dni? - powiedziała zimno. - Uznałam, że znalazłeś sobie towarzystwo bardziej tolerancyjne wobec twoich harców. - Nie przebrzmiały jeszcze ostatnie słowa, gdy Marcie natychmiast ich pożałowała. Jakież miała prawo, by osądzać go tak surowo?

On jednak wybuchnął głośnym śmiechem.

- Harce? Wieki całe nie słyszałem już tego słowa. Kiedy byłem małym chłopcem, używała go moja babcia, gdy przyłapywała mnie bawiącego się na strychu. Stawała wtedy u podnóża schodów i krzyczała: „Chance, co tam znowu za harce wyczyniasz na górze?”

Myśli Marcie również powędrowały do lat dzieciństwa. Uśmiechnęła się łagodnie.

Chance ujął ją za rękę. Ciepło jego dotyku w mig dotarło do jej serca. Od czasu gdy była zaręczona, nie czuła tak bliskiej więzi z żadnym mężczyzną. Tyle tylko, że przy byłym narzeczonym wrażenie to nigdy nie było aż tak intensywne.

Nie wypuszczając jej dłoni, Chance poprowadził ją do końca lady, przyciągnął do siebie i zamknął w uścisku.

- Musiałem wyjechać na krótko do San Francisco. W interesach. Ważna sprawa zajęła mi kilka dni. - Uśmiechnął się. - Poza tym chciałem dać ci dość czasu, byś mogła zauważyć, że nie jestem aż tak złym chłopcem. Żebyś, gdy znów zaproponuję ci spotkanie, nie wytarłosiła mnie za ucho i nie wyrzuciła za drzwi. Wiesz, rozłąka zbliża i tak dalej.

Nie chciał, by Marcie pomyślała, że próbuje ją do czegoś zmusić, więc spytał szybko:

- Skończyłaś już pracę?

Zamknięta w jego ramionach Marcie nie mogła zebrać myśli. Nie pojmowała, do czego zmierzał.

- Właściwie tak. Zwolniłam Glena i Dona trochę wcześniej, więc sama muszę posprawdzać wszystko i pozamykać drzwi.

- Pomogę ci.

W jego głosie było tyle ciepła, że Marcie zadrżała. Wahala się przez moment.

- Muszę zamknąć sklep najpierw od frontu, potem pójdziemy na zaplecze.

Chwilę później, trzymając się za ręce, poszli do magazynów i szklarni. Chance stał przy drzwiach i przyglądał się Marcie z upodobaniem i prawdziwą przyjemnością. Lubił ją. Coraz bardziej.

Po dziesięciu minutach wszystkie drzwi były zamknięte.

- To wszystko - powiedziała. - Teraz muszę już tylko włączyć oświetlenie oraz alarm, i koniec.

- Jest chyba coś jeszcze do zrobienia. - Chance przyciągnął ją i przywarł ustami do jej warg. Nie ociągała się dłużej. Zarzuciła mu ręce na szyję i odpowiedziała namiętym pocałunkiem.

Objął ją jeszcze mocniej i oparł się o ścianę. Coś wbiło się mu boleśnie między łopatki, lecz zignorował to. Przycisnął Marcie do siebie z całej siły. Koniuszkiem języka odszukał jej język. Płomień namiętności wystrzelił gwałtownie, objął ich bez reszty.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, znaleźli się w samym środku ulewy. Instalacja zraszająca wystrzeliła setkami strumieni wody i natychmiast zmoczyła ich do ostatniej nitki. Mimo zaskoczenia, Chance nie zwolnił uścisku. Przez moment zaciskał usta, by zachować powagę. Bez skutku. Wybuchnął radosnym śmiechem.

- Muszę przyznać, że zaczynało robić się gorąco. Ale nie przypuszczałem, że aż tak, by trzeba było zlewać nas wodą. - Umilkł i patrzył z czułością w oczy Marcie. - W każdym razie jeszcze nie teraz.

Stali objęci. A strumienie wody spływały im po włosach, twarzach i ubraniach. Nie wykonali żadnego ruchu w kierunku włącznika, który Chance nacisnął niechętnie, opierając się o ścianę.

Starł strumienie wody spływające po policzkach Marcie. Poczł niespodziewany ucisk w piersi.

- Jestem pewien, że słyszałaś to już nieraz, ale powtórzę - wyszeptał. - Jesteś niezwykle piękną kobietą, Marcie Roper. Bardzo pociągającą, bardzo. - Szybko przywarł ustami do jej warg.

Marcie odpowiedziała pocałunkiem równie namiętnym.

Chance wyszedł z łazienki Marcie.

Miał na sobie spodnie od dresu i parę czystych skarpetek, które zawsze wozil w bagażniku. Bluzę od dresu przewiesił przez ramię. W korytarzu spotkał się z Marcie. Wychodziła właśnie z sypialni, gdzie przebrała się w dżinsy i sweter. Wzięła od niego mokre rzeczy i wraz ze swoimi włożyła do suszarki.

Kilka chwil później pojawiła się w salonie z dwoma kieliszkami wina. Zatrzymała się w drzwiach. Chance energicznie wycierał mokre włosy. Bluzę powiesił na oparciu kanapy. Marcie nie mogła oderwać oczu od jego nagiego torsu.

Zamknęła oczy i kilka razy głęboko odetchnęła. Niewiele to pomogło. Na szczęście, gdy uniosła powieki, zauważyła, że włożył już bluzę.



- Proszę. - Weszła z kieliszkiem w wyciągniętej ręce. - Może to cię rozgrzeje.

- Dzięki. - Chance uśmiechnął się szeroko. - Jeśli nie masz nic przeciw temu, rozpalę ogień na kominku. To też rozgrzewa.

Marcie bała się tego, co mogłoby się zdarzyć, gdyby Chance został. Lecz jeszcze bardziej lękała się myśli, że mógłby odejść.

- Wspaniały pomysł. - Uśmiechnęła się niepewnie. Niedługo później ogień trzaskał cicho na palenisku.

Chance przymknął drzwiczki, wziął Marcie za rękę i poprowadził do kanapy. Usiedli, przytuleni. W milczeniu wpatrywali się w tańczące płomienie.

Chance wyciągnął się na kanapie, pociągając Marcie na siebie. Objął ją mocno i przytulił. Delikatnymi muśnięciami całował jej policzki, usta i czoło. Coraz prędzej, coraz mocniej. W końcu przywarł wargami do jej ust. Wcisnął język między jej wargi. Raz, potem znowu. Czuł napór jej piersi. Każdy jej oddech budził kolejną falę pożądania. Wsunął dłonie pod sweterek i głaskał delikatnie jedwabistą skórę jej pleców.

Marcie objęła go za szyję i żarliwie odpowiadała na pocałunki.

Ale wiedziała przecież, że Chance nie jest mężczyzną dla niej. Choćby nie wiadomo jak bardzo rozpalał jej zmysły, nie był tym, który mógł stworzyć jej dom, rodzinę. Dać poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji. Zaakceptować jej styl życia.

Przemogła się z trudem. Odepchnęła Chance'a i usiadła, oddychając ciężko.

- To dzieje się chyba trochę za szybko - powiedziała. - Prawie cię nie znam.

Spojrzał w głąb jej oczu. Dotknął wilgotnych warg.

- Ale poznawanie się idzie nam całkiem dobrze - zauważył. Nie do końca zdołał ukryć drżenie głosu.

- Tak, chyba zbyt dobrze - mruknęła Marcie i wstała.

Chance opróżnił kieliszek, wstał i otoczył Marcie ramieniem. Poszli do kuchni. Tam wziął ją w objęcia i złożył na jej czole delikatny pocałunek.

- Myślisz, że moje ubranie już wyschło? - spytał bez entuzjazmu.

- Tak. Na pewno. - W głosie Marcie także trudno byłoby doszukać się zadowolenia. Ale cieszyła się, że Chance wziął sprawy w swoje ręce. Ruszyła w stronę suszarki, lecz nie doszła daleko.

Chance chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie.

Do diabła z dobrymi chęciami! Jeżeli Marcie chce, by sobie poszedł, niech mu to powie prosto w oczy. Przywarł do jej ust w zachłannym pocałunku.

Po chwili Marcie wyswobodziła się z jego objęć.

- Chyba lepiej będzie, jeśli wyjdiesz, zanim... - Jej szept cichł coraz bardziej. Zmieszana, wbiła wzrok w podłogę. - Zanim sprawy zupełnie wymkną się spod kontroli.

Chance ujął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Aż tak bardzo tego nie chcesz?

## *ROZDZIAŁ PIĄTY*

- Cześć, Marcie.

Podsłoczyła i odwróciła się gwałtownie. W drzwiach do szklarni stał Glen. Choć była to niedziela, Marcie przyjechała do firmy, by sporządzić spis remanentowy dla towarzystwa ubezpieczeniowego.

- Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć. - Glen przyglądał się jej podejrzliwie. - Wyglądasz na bardzo zmęczoną. Dobrze się czujesz?

- Oczywiście. - Marcie zmusiła się do uśmiechu. - Przestraszyłeś mnie, to wszystko. Nie słyszałam, kiedy wszedłeś. Co się stało?

- Tam, na zewnątrz, jest jakiś gość. Chce widzieć się z tobą. Nazywa się Chance Fowler. Mówi, że przyjechał w interesach.

- W interesach? - Marcie wysoko uniosła brwi. - Powiedział, o co chodzi?

- Nie. Tylko pytał o ciebie - odparł Glen i wyszedł. Zmieszana Marcie stała bez ruchu.

Nic dziwnego, że nie usłyszała wejścia Glena. Myślami była zupełnie gdzie indziej. Gościł w nich właśnie Chance Fowler. Wyobrażenia podsuwała jej wciąż nowe wydarzenia, które mogłyby mieć miejsce poprzedniego wieczora, gdyby, oczywiście, nie kazała Chance'owi odejść. Przekonywała samą siebie, że postąpiła słusznie.

Spędziła potem bezsenłą noc. Rano z trudem zwlokła się z łóżka. I oto sprawca bezsenności, znów bez żadnego ostrzeżenia, stanął u jej drzwi. Pełna ponurych myśli poszła do sklepu. Chciałaby znaleźć w sobie dość sił, by zakazać mu raz na zawsze przychodzenia do niej. I by przekonać samą siebie, że to jedyne słuszne rozwiązanie.

W oczekiwaniu na Marcie Chance przechadzał się po sklepie. Niezwykłe zdenerwowanie towarzyszyło mu tego dnia od chwili, gdy wstał z łóżka. Nigdy przedtem nie zdarzyło mu się tak tęsknić za kobietą. Zwłaszcza zaś za taką,

która okazywałaby mu aż tyle niechęci. Lecz Marcie Roper była naprawdę wyjątkowa. Szczegółowo przemyślał cały plan i oto przystąpił do jego realizacji. Gdy ujrzał Marcie w drzwiach na zapleczu, z trudem zmusił się do obojętnego uśmiechu.

- Cześć - powiedział. - Szukałem cię w domu, ale tam nikogo nie było. Pomyślałem więc, że choć to niedziela, zajrzę tutaj. No i jesteś.

- Tak. Jestem tu. - Marcie uśmiechnęła się również. - Robię remanent. Glen powiedział, że przyjechałeś w interesach.

- Tak. - Chance zakasłał nerwowo. - Nabyłem zrujnowaną posiadłość i chciałbym, żeby twoja firma zajęła się zaprojektowaniem i wykonaniem architektury terenu. Obawiam się, że jest tam bardzo dużo do zrobienia. Teraz rosną tam tylko krzaki i zielsko.

- Zagospodarowanie terenu? O tym chciałeś ze mną porozmawiać? - spytała Marcie z ulgą. A więc nie chodziło mu o sprawy osobiste.

Jakby przecząc jej myślom, Chance pochylił się nad kontuarem i chwycił jej dłoń.

- Może pojechałabyś tam ze mną i rozejrzała się trochę? Mogłabyś oszacować koszty. To mi ułatwi opracowanie planu wydatków całego przedsięwzięcia.

Marcie rzuciła okiem na zegarek, potem wyjrzała przez okno.

- Obawiam się, że gdy będę mogła stąd wyjść, zrobi się już zbyt ciemno. Może jutro? - Wyjęła spod lady terminarz.

Chance ścisnął jej dłoń i uśmiechnął się ciepło.

- Świetnie. Może być jutro. Przyjadę po ciebie o dziesiątej rano.

- Nie tak szybko. Najpierw muszę zapisać kilka informacji. - Sięgnęła po pióro. - Nazwisko klienta: Chance Fowler. Numer telefonu. - Popatrzyła nań pytająco.

- Pozwól, że sam to wypełnię. - Chance wyjął jej pióro z ręki.

Kiedy oddał wypełniony formularz, Marcie spytała:

- Jaką kwotę zamierzasz przeznaczyć na to przedsięwzięcie?

- Taką, jaka będzie konieczna. Nie ustaliłem żadnego limitu.

- Dobrze. Musisz powiedzieć mi teraz coś o swoich planach: Jakiego rodzaju projektu oczekujesz? Czy ma to być ogród stosunkowo łatwy w utrzymaniu? Trawnik, kilka drzew i nie wymagających pielęgnacji krzewów? A może coś znacznie bardziej wyszukanego? Czy później zatrudnisz ogrodnika, który będzie się opiekował całością?

- Czy nie moglibyśmy porozmawiać o tym jutro, kiedy już wszystko obejrzysz? A tymczasem dziś wieczorem... - Uniósł jej dłoń i musnął delikatnym pocałunkiem.

I to wystarczyło. Marcie Roper, trzeźwo myśląca właścicielka przedsiębiorstwa, kobieta rozsądna i poważna, poczuła się jak nastolatka. Drżącym, cichym głosem spytała:

- Dziś wieczorem? Co dziś wieczorem?

- Jedziemy od kina, do którego nie wybraliśmy się wczoraj. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Chyba że wolisz raczej ponownie wypróbować system zraszający w twojej szklarni? - Poglaskał Marcie po policzku, ujął ją pod brodę i pocałował. - Przyjadę po ciebie do domu o pół do ósmej.

Marcie nie zdołała wydobyć z siebie głosu, więc tylko skinęła potakująco głową. Była zupełnie bezradna. Czowała, że znalazła się pod przemożnym wpływem tego pełnego energii, atrakcyjnego mężczyzny.

Chance jeszcze raz ścisnął jej dłoń i wyszedł ze sklepu. Spoglądała za nim, stojąc bez ruchu. Zastanawiała się, w co też się właśnie wplątała? I jak miała się z tego wyzwolić? Choć najważniejsze zapewne pytanie brzmiało: czy w ogóle jej na takim wyzwoleniu zależało?

Z trudem zdążyła dojechać do domu i przebrać się. Kończyła właśnie układanie fryzury, gdy Chance zadzwonił do drzwi. Zaróżowiona z pośpiechu, otworzyła drzwi.

- Cześć! - Pocałował ją w policzek i wszedł do salonu. - Jesteś gotowa?

- Prawie. Dopiero przed kwadransem dotarłam do domu. Na jaki film idziemy?

- Na jaki chcesz. Masz gazetę? Sprawdzimy, co grają. Po krótkiej naradzie zdecydowali się na komedię. Kiedy szli do samochodu, Chance objął ją ramieniem.

- Powiedziałaś, że właśnie wróciłaś do domu. Zjadłaś jakąś kolację? Możemy zatrzymać się gdzieś po drodze i pójść na późniejszy seans.

Postanowili najpierw pojechać do kina. Po filmie kupili pizzę i pojechali do Marcie. Ale nie byli specjalnie głodni. Zjedli tylko połowę, reszta została w kartonowym pudełku w kuchni. Do połowy tylko opróżnione kieliszki z winem zostały na stoliku do kawy w salonie.

A oni usiedli na wielkich poduchach przed kominkiem. Trwali tak w objęciach, zapatrzeni w tańczące płomienie, zaszuchani w trzaskanie płonących polan.

Wszystko zaczęło się bardzo niewinnie. Chance pocałował Marcie w czoło, a ona mocniej przytuliła się do niego. Potem pogłaskał ją po karku i pocałował w policzek. I tak kolejny pocałunek pociągał za sobą następny.

Marcie z lubością poddawała się pieszczotom. Czowała silne dłonie przesuwające się po jej plecach. I język wsuwający się między wargi. A Chance z każdą chwilą pragnął jej coraz bardziej. Pragnął jej całej - ciała i duszy.

Dla Marcie było to przeżycie niezwykle. Nigdy przedtem nie była pod tak wielkim wpływem żadnego mężczyzny. Czowała rosnącą w niej namiętność. I bała się jej coraz bardziej.

Z wysiłkiem odsunęła się od Chance'a.

- Myślę, że chyba trochę się zagalopowaliśmy - wydusiła z siebie.

- Co? Co? - wyszeptał pełnym niedowierzania głosem.

Marcie uwolniła się z jego objęć i usiadła.

- Myślę... - Marcie próbowała uporządkować zmierzwiłone włosy. - Myślę, że rozsądniej będzie nieco ochłonać.

- Chyba masz rację. - Chance wstał. Na pewno nie był zadowolony. - Do zobaczenia rano.

Chance zatrzymał samochód przy krawężniku i wskazał ponuro wyglądający budynek.

- Oto i on - rzekł. - Jak powiedziałem, jest bardzo zdewastowany, ale kiedy skończymy, będzie nie do poznania. - Wysiadł, szybko obszedł auto i otworzył drzwi swojej pasażerce.

Marcie rozejrzała się wokoło z zaciekawieniem. Przed domem stała ciężarówka firmy budowlanej i trzy inne samochody. Lecz wokół nie było nikogo widać.

- Chodźmy. - Chance poprowadził ją ku domowi. - Najpierw pokażę ci, jak jest w środku. Potem porozmawiamy o ogrodzie.

Kiedy wchodzili na ganek, z domu wyszedł krępy, pięćdziesięcioletni może mężczyzna. Przywitał ich wesołym uśmiechem.

- Pozwól, Hank, to jest Marcie Roper, projektantka zieleni. Jej firma zajmie się ogrodem i otoczeniem domu. Marcie, to jest Hank Varney. Główny budowniczy. W ciągu najbliższych tygodni będziecie chyba dosyć często się spotykać - powiedział Chance.

- Miło cię poznać, Marcie. - Hank uściśnął podaną mu dłoń. - Wołaj mnie, gdy tylko będziesz czegoś potrzebować. - Odwrócił się do Chance'a. - Pracują tu teraz ze mną Jim, Bob i Fred. Zamierzałem wziąć do tej roboty Jeffa, ale... Chyba będę musiał znaleźć kogoś innego. Czy masz może...

- Porozmawiamy o tym później - przerwał mu Chance. - Zadzwoń do ciebie po południu, kiedy skończę już wszystkie ustalenia z Marcie.

Marcie zauważyła, że Chance nie pozwolił Hankowi skończyć zdania. Zorientowała się, że nie chciał, by usłyszała coś, co nie było przeznaczone dla jej uszu. Ale nie mogła dociec, o co mogło mu chodzić.

Z każdym kolejnym spotkaniem poznawała nowe oblicze Chance'a Fowlera. Bardzo ją ucieszyło to, że zadurzyła się w mężczyźnie o wiele bardziej

skomplikowanym, niż wynikałoby to z artykułów prasowych. Jeszcze tylko czasami, jak bolesna zadra, pojawiała się w jej pamięci tamta fotografia z zakończenia regat, z nieznaną kobietą u jego boku.

Chance położył jej rękę na ramieniu i poprowadził do drzwi.

- Chodź. Pokażę ci wnętrze.

Z piętra dobiegły ich odgłosy stukania młotków i skrzypienie pił. Bez wątpienia pracowano tam bardzo energicznie.

Zwiedzanie zaczęli od holu.

- Jak widzisz, dom jest strasznie zaniedbany. Ale nie jest tak źle.

Fundamenty i szkielet konstrukcji są w doskonałym stanie. Głównie będą prace kosmetyczne.

Weszli do wielkiego salonu

- Pod wieloma warstwami starej farby - rzekł Chance i wskazał na okienne ramy, gzymsy, karnisze, listwy, schody i balustrady - kryje się piękna, solidna dębina. Nie potrafię zrozumieć, po co ktoś ją w ogóle pomalował. Czy uwierzysz, że na tych schodach odkryliśmy sześć warstw farby? W sześciu różnych kolorach? - Przesunął dłonią po poręczy. - Spójrz na te kształty. Kiedy skończymy remont, znów będą lśnić pięknem polerowanego dębu. To samo z obramowaniem kominka. Jest ręcznie wykonane z dębu, zostało potem pokryte kilkoma warstwami wstrętnej farby.

Obeszli tak cały dom. Wszystkie pomieszczenia. Wszędzie Chance szczegółowo opowiadał Marcie, co i jak zamierza zrobić. Na koniec, tylnymi drzwiami, wyszli na podwórze.

- Znasz już wszystkie plany dotyczące wnętrza. Teraz powiedz, co sądzisz o otoczeniu domu?

- Pozwól mi zebrać myśli. - Marcie pokręciła głową. - Zasypałeś mnie gradem informacji.

Ale nie tylko o to chodziło. Czowała się przytłoczona odkryciem, jakiego właśnie dokonała. Oto poznała człowieka ogarniętego pasją, rozmiłowanego w



tym, co robił. Jakże różnego od hulaki, pokazywanego w kolorowych magazynach.

- No? Co o tym myślisz? - Radość i entuzjazm aż biły z twarzy Chance'a. Jak u chłopca, który dostał nową zabawkę.

- Wygląda na to, że świetnie znasz się na rekonstruowaniu i odnawianiu starych domów.

- O, tak. Chyba tak. - Chance utkwiał w dali nie widzące spojrzenie. - Śmiało można powiedzieć, że mam w tym pewne doświadczenie - dodał tajemniczo.

Bardzo chciał podzielić się z Marcie radością i zapalem do tego przedsięwzięcia. Szalenie podobała mu się myśl, że będą razem pracować i spędzać ze sobą dużo czasu.

Stali w milczeniu, zatopieni w myślach.

Z całkiem niewytłumaczalnego powodu Marcie poczuła nagle gwałtowną potrzebę dotknięcia Chance'a. Pomyślała, że byłoby cudownie stać tak w ciszy, trzymając go za rękę.

Tymczasem Chance podjął decyzję za nią. Wziął ją za rękę i poprowadził do ogrodu.

- Pokazałem ci już wszystko w domu. Czas teraz, byś powiedziała mi, choćby z grubsza, co powinienem zrobić z tymi stertami piachu i kępami zielska.

- Muszę więc powtórzyć wczorajsze pytanie. Czy chcesz mieć tu ogród nie wymagający starannego utrzymania? Czy też coś bardziej wyrafinowanego, potrzebującego stałej opieki ogrodnika? Albo przynajmniej kogoś, kto mieszkałby w tym domu na stałe i lubił zajmować się ogrodem. Bardzo by mi pomogło, gdybym wiedziała, co zamierzasz zrobić z tą posiadłością po zakończeniu remontu.

- Sprzedam ją.

- W takim razie sugerowałabym coś pośredniego między tymi dwoma wariantami. - Z wiszącej na ramieniu torby Marcie wyjęła papier oraz przybory do rysowania i zaczęła szkicować. - Należałoby całkiem odsłonić front domu. W ten sposób uatrakcyjnimy całą posiadłość stosunkowo małym kosztem. Należałoby jednak stworzyć kilka osłoniętych zakątków, ale tak, by uniemożliwić potajemne zakradanie się na teren obcych.

- Doskonale. Chciałbym, żebyś dodała jeszcze z przodu i tyłu domu podziemny system zraszania i podlewania. Przygotuj dokumenty, które mam podpisać, a natychmiast wyślę ci czek. A teraz zapraszam cię na lunch.

- Tak po prostu? Nie chcesz obejrzeć komputerowych projektów? Nie masz zamiaru zapoznać się z kosztorysami, by móc jeszcze raz wszystko rozważyć?

- Nie. Jestem pewien, że podana przez ciebie kwota będzie uczciwie skalkulowana, a skończone dzieło wspaniałe. - Chance obdarzył Marcie kolejnym uśmiechem i ponownie wziął za rękę. - Dokończysz te szkice kiedy indziej. Teraz pora coś zjeść.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Mam zbyt dużo pracy, bym mogła tracić czas. - Marcie spojrzała na zegarek. - Prawdę mówiąc, już muszę wracać do firmy.

Chance odwiózł ją pod sam sklep.

- W porządku, z lunchu nici - westchnął. Łagodnie odgarnął jej z czoła niesforny kosmyk. - A co z wieczorem?

Marcie poczuła nagły i niespodziewany brak tlenu w płucach i gwałtowny skurcz żołądka. Powściągnęła szaloną wyobraźnię.

Odwróciła głowę, starannie unikając spojrzenia Chance'a. I z wielkim wysiłkiem opanowawszy drżenie głosu, powiedziała:

- Mam już na wieczór inne plany. To będzie... spotkanie w interesach.

To, co powiedziała, było prawdą. Umówiła się z Glenem i Erikiem Rossem. To oni kierowali pracownikami wykonującymi aranżacje ogrodów i

parków. Oprócz bieżących zleceń chciała omówić z nimi także projekt dla Chance'a. Mogła oczywiście, bez najmniejszego kłopotu, przełożyć to spotkanie. Natychmiast jednak odpędziła od siebie tę myśl. Wciąż czuła lęk przed niezwykłym wpływem, jaki wywierał na nią Chance.

- Może jednak gdyby spotkanie nie przeciągnęło się zbytnio... - bąknął Chance.

Zobaczyła w jego oczach to, czego nie dopowiedział. Poczowała, że zaczyna tracić pewność siebie. Gwałtownie otworzyła drzwiczki i wysiadła z samochodu.

- W kilka dni przygotuję kosztorys i projekt całości. Odpowiada ci to?

- Oczywiście, świetnie. - Chance nie zdołał ukryć rozczarowania. Było pewne, że nie zobaczy Marcie tego wieczora.

Przez całą drogę do domu myślał tylko o niej. A właściwie o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby Marcie zgodziła się na spotkanie. I choć czuł żal, musiał przyznać, że to ona miała rację. Nie chciał popełnić żadnego błędu. Musiał uzyskać pewność, że ich związek oparty jest na solidnych podstawach.

Przestraszył się własnych myśli. Pojawiło się w nich słowo „związek”. Słowo, które napawało go lękiem.

Oznaczało ono bowiem podróż w jednym tylko kierunku. Przez całe życie wędrował po różnych drogach, wiodących do ciekawych miejsc i przygód. I był szczęśliwy. Aż tu nagle spostrzegł, że prawdopodobnie wszedł na drogę, z której nie było odwrotu.

Marcie zatrzymała auto tuż obok ciężarówki Hanka Varneya. Był bardzo wczesny ranek. Zdziwiła się więc niepomniernie, że ekipa Hanka jest już w pracy. Przyjechała, by uzupełnić pomiary i wykonać dodatkowe szkice, potrzebne do dalszej pracy nad projektem dla Chance'a.

Była na niego trochę obrażona. Za to, iż bez dyskusji zgodził się na wszystko, co zaproponowała. Że nie postawił żadnych ograniczeń finansowych i

że nie udzielił żadnej wskazówki. A przecież każdy ma jakiś gust i coś lubi bardziej, a coś mniej.

Poza tym nie chciała także, by Chance pomyślał, że ona na coś go naciąga. A do tego jeszcze bała się zawieść jego oczekiwania. Miała nadzieję, że może Hank Varney udzieli jej jakichś wskazówek.

Pospacerowała trochę wkoło domu. Zrobiła notatki i uzupełniła szkice. W spokoju poranka dostrzegła piękno budynku, ukryte pod warstwami niepotrzebnej farby. Odkryła w ten sposób jeszcze jedno oblicze Chance'a. Człowieka potrafiącego w poszukiwaniu skarbów dostrzegać rzeczy niewidoczne dla oka.

- Dzień dobry! - Marcie usłyszała głos Hanka. - Jestem zaskoczony, widząc cię tutaj tak wcześnie. Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Dzień dobry. Przyjechałam, bo muszę zrobić jeszcze parę rysunków i pomiarów.

- Gdybyś potrzebowała czegoś, zawołaj mnie. - Hank odwrócił się, by odejść.

- Jest pewna sprawa.

- Tak? - Zatrzymał się.

- Widzisz... - Marcie podeszła bliżej. Nie chciała, by ich rozmowa mogła być usłyszana przez wszystkich dookoła. - Tylko to jest trochę krępujące. - Z namysłem dobierała słowa, żeby nie zabrzmiały jak wścibstwo. - Chodzi o to, że Chance nie dał mi żadnych wskazówek. Ani nie ustalił żadnych ograniczeń finansowych. Wszystkie decyzje muszę podjąć sama, a ja wcale nie jestem pewna, czego on oczekuje. Pracowałeś z nim już wcześniej, prawda? - Wyjęła notes i długopis.

- Oczywiście. Wykonywałem wszystkie szkolne projekty Chance'a w San Diego. Tak jak Scott Blake w San Francisco.

Marcie nie była pewna, czy dobrze zrozumiała. Szkolne projekty?

- Chyba nie rozumiem - powiedziała z wahaniem. - Sądziłam, że Chance kupił po prostu stary, zniszczony dom, żeby odnowić go i sprzedać z zyskiem. I że wynajął twoją firmę tylko do wykonania tej pracy. Co miałeś na myśli, mówiąc „szkolne projekty”?

Hank nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

- Nie powinienem był tego mówić. Sądziłem, że skoro tu będziesz pracowała, to wiesz wszystko o fundacji Chance'a.

- Opowiedz mi o niej. - Marcie starała się, by zabrzmiało to możliwe obojętnie. - Bardzo chciałabym dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Jest taki tajemniczy.

Hank zmarszczył brwi. Przez moment zastanawiał się głęboko.

- No, cóż. Chyba niczego już nie zepsuję. Jeżeli Chance cię zatrudnił, to znaczy, że ci ufa.

Nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, że ktoś mógłby jej nie ufać. Dopiero, słysząc słowa Hanka, zrozumiała, że dla kogoś takiego jak Chance to wcale nie musiało być takie oczywiste. Przecież on wciąż musiał mieć się na baczności przed ludźmi, którzy mogli chcieć zaszkodzić jego nazwisku lub zajmowanej pozycji. Poczula się uszczęśliwiona. Chance Fowler obdarzył ją zaufaniem.

Hank poprowadził ją na piętro.

- Kilka lat temu Chance założył fundację, która pomaga młodym, zagubionym w życiu chłopcom - mówił. - Nastolatkom wyrzuconym ze szkół. Osiemnasto- i dziewiętnastolatkom, którzy weszli w kolizję z prawem z takiego czy innego powodu. Kupuje stare domy, a chłopcy, pod moim nadzorem i przy sporadycznej pomocy fachowców z mojej firmy, pracują przy ich remoncie. Nie tak jak w zwykłych szkołach, w których uczniowie muszą płacić za naukę zawodu. U Chance'a dostają nawet niewielkie pensje. Kiedy dom jest gotowy, Chance sprzedaje go i kupuje następny. A gdy uczniowie zdobędą wystarczające

kwalifikacje, zatrudniamy ich jako pełnopłatnych pracowników. Wszystkie zyski ze sprzedaży domów przeznaczone są na zakup następnych.

- Nie miałam o tym pojęcia - szepnęła.

Jej serce rozgrzała дума, że ktoś taki jak Chance Fowler zaprosił ją do współpracy. Z wolna rozplątywał się we mgle jego gazetowy portret. Wyłaniał się zaś człowiek naprawdę wartościowy.

- Mało kto o tym wie. Chance bardzo dba o to, by nikt nie przeszkadzał jego uczniom.

- Mówisz o tych chłopcach: uczniowie. Czy działania Chance'a mają akceptację władz stanowych lub ministerstwa szkolnictwa?

- Niezupełnie. Ale Chance współpracuje z miejskimi i stanowymi urzędnikami. Przede wszystkim jednak stara się pomagać zacząć nowe życie tym młodym ludziom, którzy w przeciwnym przypadku wylądowaliby prawdopodobnie w więzieniu. I niezwykle starannie pilnuje, by nikt mu w tym nie przeszkadzał. Wciąż lęka się, że któryś z brukowców wyciągnie wszystko na światło dzienne.

- Chcesz powiedzieć, że to nie jest całkiem legalne?

- Ależ nie! Nic z tych rzeczy. Chance oficjalnie zarejestrował swoją fundację. W ten sposób są udokumentowane wszystkie wydatki. Zwłaszcza że sam nie czerpie z tego ani grosza zysku.

- Znasz go już bardzo długo, prawda? Jego rodzina musi być z niego dumna. - Marcie nie miała pojęcia, dlaczego to powiedziała. Wiedziała przecież, że Chance nie jest w najlepszych stosunkach z ojcem.

Hank parsknął pogardliwym śmiechem.

- O, tak! Znam Chance'a już od wielu lat. Kiedyś pracowałem dla Douglasa Fowlera. Kiedy Chance przyszedł do niego ze swoim pomysłem, jego stary powiedział, że to tylko marnotrawienie pieniędzy i że nie życzy sobie, by nazwisko Fowlerów było w to zamieszane. - Hank zmienił głos i przedrzeźniając seniora rodu, powiedział:

- Nazwisko Fowler oznacza zyski, nie jakieś tam niedochodowe przedsięwzięcia. Nie chcę już nigdy więcej słyszeć o tej bzdurze. - Hank zamyslił się na moment. - Tak właśnie powiedział starszy pan. Było to wiele lat temu. Od tego czasu Chance nie poprosił go już o nic więcej. Wtedy właśnie zerwał z nim kontakty - dodał smutno.

- Od tamtej pory niczego od niego nie przyjął. Są dla siebie całkiem obey. Nie jak ojciec i syn. A wszystkiemu winien jest stary.

- Wiedziałałam, że Chance'owi nie układa się z ojcem. Nie sądziłam jednak, że tak to wygląda. Chcesz powiedzieć, że w ogóle ze sobą nie rozmawiają? - Przypomniał się jej wydruk komputerowy z poczty elektronicznej informujący Chance'a o ślubie ojca.

- Utrzymują kontakty. Całkiem oficjalne. Wrażliwość i współczucie dla innych Chance odziedziczył po matce. Teraz zostały mu tylko obowiązkowe spotkania rodzinne. Dlatego przed świętami jest zawsze taki spięty.

- No cóż. Chyba lepiej już pójdę. - Marcie wykonała nieokreślony ruch ręką i ruszyła ku schodom. Wśród plątaniny myśli przelatujących przez jej głowę jedna wracała uparcie. Chance jej zaufał.

Na krótką chwilę wszystko, co dotyczyło Chance'a Fowlera, stało się jasne i proste. Nie na długo jednak. Rozsądek szybko sprowadził Marcie na ziemię. Być może nie poznała jeszcze wszystkich cech jego charakteru.

Przecież powszechnie znany obraz Chance'a nie mógł zostać w całości wymyślony przez dziennikarzy. Ostatecznie wtedy, na ulicy, potraktował ją dosyć obcesowo. I choćby nie wiadomo jak bardzo ją pociągał, na pewno nie był mężczyzną, z którym chciałyby spędzić resztę życia.

## *ROZDZIAŁ SZÓSTY*

Marcie po raz ostatni przyjrzała się projektowi ogrodu. Szczególnie wiele uwagi poświęciła frontowej stronie domu. Zależało jej, by z ulicy wyglądał jak najlepiej. To mogło bardzo pomóc przy sprzedaży.

Była zadowolona z wykonanej pracy. Miała nadzieję, że i Chance'owi ten projekt się spodoba. Wydrukowała szczegółowy kosztorys i umowę. Wszystko było gotowe do podpisu.

Minęły dwa dni od ich ostatniego spotkania. Chance nie zadzwonił ani razu, nie wpadł do sklepu. Nawet nie sprawdził, jak idą prace. Marcie wiele razy myślała o tym, co usłyszała od Hanka Varneya. Prawdę mówiąc, nie mogła się uwolnić od myśli o swoim zleceniodawcy. Dwa spędzone bez niego dni wydawały się jej wiecznością. Nie było sensu oszukiwać dłużej samej siebie. Stało się, szalała za tym mężczyzną.

Jednak zamiast czuć się radosna i szczęśliwa, była zakłopotana i trochę tym faktem przestraszona. Wciąż bała się, że dla Chance'a była tylko kolejną zabawką.

Dźwięk dzwonka przy drzwiach wyrwał ją z zamyślenia. Przyjęła zamówienie i z westchnieniem ulgi popatrzyła za odjeżdżającym klientem. Z niechęcią pomyślała, że i ona powinna zabrać się już do przygotowywania świątecznych ozdób. Chociażby z powodu dorocznego przyjęcia bożonarodzeniowego dla pracowników. Nazajutrz przypadał Dzień Dziękczynienia. Najwyższy czas, by się tym zająć, pomyślała.

Dzień minął spokojnie. Nadszedł wreszcie ten moment, gdy Marcie zamknęła frontowe drzwi i wzięła się do papierkowej roboty. Wtedy usłyszała stukanie w okno. To był Chance. Uśmiechał się tak radośnie, że bezwiednie odpowiedziała mu tym samym. Nie tracąc ani chwili, wpuściła go do środka.



- Kiedy ostatnio zadałem ci to pytanie, nie byłem zbyt uszczęśliwiony odpowiedzią. - Chance objął ją mocno i pocałował. - Dlatego zapytam jeszcze raz. Tęskniłaś za mną? - Uśmiechał się figlarnie, lecz w jego oczach Marcie dostrzegła dziwne napięcie.

Nie mogła złapać tchu. Jej żołądek skurczył się i zamienił w twardy kamień. Z najwyższym trudem opanowała drżenie głosu.

- Właściwie... Może troszeczkę - odparła.

- Tylko troszeczkę? - szepnął Chance wprost do jej ucha.

Zanim Marcie zdążyła odpowiedzieć, zbliżył usta do jej warg. Przytulił ją, wplótł palce w miękkie włosy. Delektował się smakiem pocałunku.

- Kończysz już pracę? - spytał po bardzo długiej chwili.

- Za pięć minut.

- Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

- Nie. Nie mam żadnych planów - wyszeptała cicho.

- A na jutro? To Dzień Dziękczynienia. Może moglibyśmy trochę pożegłować?

- Niczego jeszcze nie planowałam - szepnęła cicho.

Pospiesznie pozamykała wszystkie drzwi. Chance wziął ją za rękę i poprowadził do swojego auta.

- Dokąd jedziemy? Może najpierw mogłabym odstawić do domu swój samochód?

- Oczywiście. Pojadę za tobą.

Potem, gdy Marcie już siedziała w samochodzie Chance'a, ruszyli na południe od Crestview Bay. Minęli San Diego i po krótkiej podróży dotarli do jego domu.

Marcie z niekłamanym zachwytem patrzyła na stary, lecz pięknie utrzymany budynek. Nie był duży. Mniejszy, niż oczekiwała. Lecz urządzone z dużym smakiem.

- Tu jest naprawdę bardzo miło, Chance.

- Dziękuję. Cieszę się, że ci się mój dom podoba. Chodź, oprowadzę cię. Pokazał jej wszystkie pokoje. Potem wielkie patio i basen. Kiedy wrócili do domu, Chance otworzył butelkę wina i napełnił kieliszki.

- Pomyślałem, że byłoby wspaniale spędzić wieczór w domu. To znaczy, może powinniśmy byli wypożyczyć kasetę z jakimś filmem. Albo posłuchajmy muzyki... Moglibyśmy po prostu pobyć trochę razem. Czy chcesz popływać?

Marcie pokręciła przecząco głową.

- Skoro o pływaniu mowa - powiedziała - przypomniało mi się, co niedawno powiedział mi Glen. On pochodzi z Michigan i wciąż nie może się przyzwycząić do pogody panującej o tej porze roku w San Diego. Grudzień tuż-tuż, a my rozmawiamy o kąpieli w basenie.

- Powinniśmy wykorzystać taką piękną pogodę.

- Mówisz poważnie? - Marcie spojrzała nań podejrzliwie. - Przecież nawet nie zabrałam kostiumu.

- W przebieralni mam zawsze kilka kostiumów dla gości. - Chance odstawił kieliszek i wziął Marcie w ramiona. - Albo możemy pogasić światła wokół basenu i popływać nago - szepnął jej prosto do ucha. Pogłaskał ją po karku. Pocałował. Zachłannie i namiętnie.

Marcie bezwolnie poddała się ogarniającemu ją podnieceniu. Wiedziała, że to jest miłość. Pokochała tego człowieka. Nie miała jednak zielonego pojęcia, co począć z tym uczuciem. A może po prostu pozwolić biec sprawom ich własnym torem?

- Marcie - powiedział Chance, gdy znów mógł oddychać - to jest wyjątkowo ciepły wieczór. Może wypijemy resztę wina na patio? Po drodze spróbujemy znaleźć w lodówce coś do jedzenia.

Tylko to przyszło mu do głowy. W rzeczywistości pragnął powiedzieć Marcie coś zupełnie innego. Najchętniej zaniósłby ją do sypialni. Lecz nie uczynił tego. Nie chciał, by Marcie pomyślała, iż zwabił ją do siebie tylko w tym celu. Wtedy gotowa byłaby przyznać rację brukowym pismakom.

Nie zdarzało mu się nigdy tracić rezonu w obecności kobiety. Aż do tej chwili. Pragnął Marcie jak nikogo przedtem. Pragnął jej tak bardzo, że bał się zepsuć wszystko jakimś nieodpowiedzialnym postępkim. Uwolnił ją z uścisku i sięgnął po kieliszki.

- Chodźmy na patio - powiedział.

Marcie poczuła zakłopotanie. Czyżby grał? Bawił się nią? Nie mogła w to uwierzyć. Zwłaszcza teraz, gdy poznała już część jego prawdziwego oblicza. Miała wrażenie, że zabrał ją do swego domu, by się z nią kochać. Sama zresztą myślała o tym już od kilku dni.

- Chance? Nie rozumiem.

Spojrzał jej głęboko w oczy. Odstawił kieliszek i chwycił ją w objęcia.

- Nie przywiozłem cię tutaj, by cię uwieść - szepnął jej wprost do ucha. - No, może niezupełnie. Nie interesują mnie dziecinne gierki i zabawy. Uwierz mi, proszę. Pragnę kochać się z tobą. Bardzo. - Pocałował ją w czoło. - Ale tylko wtedy, gdy i ty będziesz tego chciała.

Marcie zacisnęła powieki. Z trudem próbowała opanować rozbiegane myśli. To, co Chance powiedział, zabrzmiało szczerze i uczciwie. A ona tak bardzo chciała mu uwierzyć.

Bała się. Więcej, była przerażona! Nigdy przedtem nie spotkała takiego człowieka. Ale przecież Hank Varney wyraźnie powiedział, że Chance Fowler jej zaufał. Czyż i ona nie powinna odpłacić mu tym samym?

Zarzuciła mu ręce na szyję i odnalazła jego usta. W mgnieniu oka ogarnęła ich gorączka.

Chance ujął jej twarz w dłonie i wyszeptał:

- Jesteś niezwykle piękną kobietą. Emanujesz pięknem naturalnym, bez cienia pretensjonalnej sztuczności. To w dzisiejszym świecie naprawdę rzadkość. - Westchnął ciężko. - Przynajmniej w tym świecie, w którym obracałem się dotąd - dodał.

Delikatnie przesunął palcem po wilgotnych wargach Marcie.

- Kiedy tylko ujrzałem cię po raz pierwszy, zrozumiałem, że jesteś zupełnie wyjątkowa.

Ujął ją za rękę i poprowadził do sypialni. Oboje mieli pełną świadomość tego, co robią. Nie było już w nich niepohamowanej żądzy i szaleństwa.

W drzwiach sypialni Marcie zatrzymała się. Poczowała ukłucie lęku.

- Masz jakieś wątpliwości? - zapytał i popatrzył na nią badawczo.

Jego uśmiech z miejsca rozwiął jej obawy.

- Nie. Żadnych - odparła.

Chance uświadomił sobie ze zdumieniem, że jest bardzo zdenerwowany. Nie zdarzyło mu się to od wielu, wielu lat.

Chwycił brzeg narzuty z jednej strony łóżka, Marcie z drugiej, i powoli odkryli królewskich rozmiarów łożo. Podczas gdy on odchylił kołdrę, ona poprawiła poduszki.

To były nerwy. Ani na chwilę nie zapominał o skutkach tego, co miało wydarzyć się już za chwilę. A to oznaczało, że Marcie Roper znaczyła dla niego więcej, niż chciał przyznać. Nawet przed samym sobą.

Nie miał zaufania do bliskich związków. Napatrzył się na pięć czy sześć małżeństw swego ojca. I na wielu spośród swoich przyjaciół, których małżeństwa nie przetrwały próby czasu. Nie miał żadnych podstaw, by uwierzyć, że w jego przypadku może być inaczej.

Zrzucił buty i wyciągnął koszulę z džinsów. Przez szerokość wielkiego łóżka uchwycił spojrzenie Marcie.

Uklęknął na materacu i wyciągnął do niej rękę. Ujął jej dłoń i pocałował. Potem pociągnął ją na łóżko i zamknął w objęciach.

Długo leżeli bez ruchu. W milczeniu. Chance położył głowę Marcie na swoim ramieniu i delikatnie głaskał jej włosy. A ona poddawała się temu z ufnością. Nigdy, w całym swoim dorosłym życiu, nie zaznała tyle ciepła, nie czuła się tak bezpieczna.

Chance przywarł ustami do jej warg. Zachłannie i niecierpliwie. Płomień namiętności ogarnął ich natychmiast. Zapadli się w miękkość materaca, zniewoleni pragnieniami i żądzami.

Chance głaskał Marcie po plecach, po ramionach, aż w końcu wsunął dłoń pod jej bluzkę. Ich języki splątały się w odwiecznym, rytualnym tańcu. Nie odrywając się od jej rozpalonych warg, rozpiął jej bluzkę i zsunął z ramion.

Marcie naśladowała go skrupulatnie. Krew w jej żyłach rozgrzewała się coraz bardziej, gdy sunęła dłońmi po jego muskularnej klatce piersiowej.

W krótkim czasie pozbyli się ubrań. Przywarli do siebie. Każdym skrawkiem skóry czuli żar nagiego ciała partnera. Obsypali się pocałunkami i pieścizotami. Coraz śmieiej i chętniej.

Chance zamknął w dłoni pierś Marcie. Pocałował skrawek gładkiej skóry za jej uchem. Potem na karku, szyi. Wreszcie objął ustami nabrzmiąłą sutkę.

- Powiedz mi, gdzie i jak mam cię pieścić - szepnął głucho. - Chcę poznać wszystkie wrażliwe miejsca twego ciała.

- Jeszcze nikt nie mówił do mnie w taki sposób. - Mimo utrudnionego z podniecenia oddechu Marcie powiedziała to z powagą.

- To znaczy, że dotychczas spotykałaś jedynie nieprawdopodobnych głupców. Trzeba dbać o potrzeby tak niezwyklej kobiety jak ty. - Były to ostatnie składne słowa, jakie Chance zdołał wypowiedzieć.

Marcie głaskała go po głowie, po plecach i ramionach. A jej sutki prężyły się i twardniały po każdym dotknięciu jego warg. Każde muśnięcie jego dłoni wyzwalalo kolejną falę pożądania. Zadrzała, gdy dotknął wnętrza jej ud. Sunął dłonią powoli, aż dotarł do celu. Marcie poczuła suchość w ustach. Podniecające impulsy z jego palców przenikały ją do głębi.

Chance całował ją nieustannie. Posuwał się od szyi w dół. I kiedy nakreślił w końcu ognisty ślad na jej skórze, gdy dotarł do rozpalonego wnętrza jej żądz, z jej krtani wydobył się głuchy jęk. Zatraciła się w rozkoszy. Ota-

czający ich świat przestał istnieć. I ona też. Jej umysł i ciało zespoliły się w jedno oczekiwanie na kolejne dotknięcia kochanka.

- Och, Chance! Nigdy jeszcze nie czułam się tak jak teraz - wyszeptała. Jej dłonie krążyły gorączkowo po jego ciele. Wreszcie znalazły. Chance omal nie oszalał z rozkoszy. Wpił się w nią, pieścił ustami. Na każdy ruch jej dłoni odpowiadał kolejną pieszczotą. Płonał.

Gładził jej krągłe biodra i jędrne pośladki. Pragnął móc przykryć dłońmi całe jej ciało.

Marcie nie zaznała przedtem niczego podobnego.

Chance Fowler był najlepszym, najmniej samolubnym, najdoskonalszym kochankiem, jakiego znała. Wszystkie jego starania miały na celu tylko jedno: dać jej jak najwięcej rozkoszy.

A więc i ona nie ustawała w staraniach. Jej dłonie nie próżnowały ani chwili. I całowała go, dotykała koniuszkiem języka. Coraz niżej i niżej.

Chance wyprężył się, wygiął w łuk. Zaciśnął powieki. Wbił głowę w poduszkę i jęknął przeciągle. A ona uniosła się i ułożyła obok niego.

Niecierpliwie otworzył szufladkę nocnej szafki. Rozerwał opakowanie. Chwilę później klęczał między jej udami. Schylił się pomału. I kiedy zetknęły się ich usta, zjednoczyli się w gorącym uścisku. Żar ciała Marcie przenikał go. Z wolna odnaleźli wspólny rytm. Marcie wychodziła naprzeciw każdemu jego ruchowi. Coraz szybciej i szybciej. Stopniowo docierała do wyżyn rozkoszy, gdzie nie dotarła nigdy przedtem, których istnienia nawet się nie domyślała. Nagle krzyknęła głośno. Stało się!

Chance ścisnął ją z całej siły. Dygotał i dyszał ciężko. Wszeptał jej imię i wtulił twarz w burzę jej włosów. Leżeli bez ruchu, zjednoczeni miłosnymi doznaniem. Słyszeć było tylko ich coraz spokojniejsze oddechy.

Chance czuł pod sobą jej cudowne ciało i było mu dobrze. Lecz w głowie kłębiły się niespokojne myśli. Bez wątplenia Marcie była tą jedną jedyną. Jego wymarzoną. Mogła dać mu wszystko, za czym tęsknił przez całe życie. Była

ciężko pracującą, niezależną kobietą. Miała poczucie własnej wartości i nie musiała czepiać się go za wszelką cenę. Była zupełnie inna niż wszystkie kobiety, które poznał wcześniej. I absolutnie w niczym nie przypominała jego macoch.

Jego doświadczenia życiowe, a zwłaszcza przykład ojca, upewniły go w przekonaniu, że trwałe i szczęśliwe związki są legendą. Bajką, nie mającą nic wspólnego z rzeczywistością.

Natomiast Marcie popadła w stan zbliżony do euforii. Była pewna, że nigdy przedtem nie była bardziej szczęśliwa. Podejrzewała - nie, była pewna, że pokochała Chance'a Fowlera. Lecz ten jej Chance Fowler na pewno nie był tym, o którym pisano w gazetach. Nie był to także znany dziedzic olbrzymiej fortuny. A już na pewno nie przypominał jej tamtego bezczelnego aroganta, który dopadł ją na ulicy i pocałował.

Jej Chance Fowler był tym, który przyjechał do Crestview Bay, by oddać jej książki, choć mógł odesłać je pocztą. Był tym, który zajmował się potrzebującymi pomocy, bez rozgłosu i reklamy. Był wreszcie mężczyzną, który spytał, czy chciałaby się z nim kochać, a nie zakładał od razu, że to oczywiste.

Chance przerwał ciszę panującą w sypialni. Łagodnie pocałował Marcie w czoło. Poglądził ją po krągłym biodrze. W jego głosie słyhać było wciąż nie wygasłą namiętność.

- Zostań ze mną na noc - poprosił. - Chciałbym kochać się z tobą wciąż od nowa.

Przeciągły jęk rozkoszy wydobył się z jej krtani, gdy trącił językiem jej sutkę.

- Na całą noc? - wyszeptała.

- Jutro jest święto. Nie musisz jechać do pracy. A sama powiedziałaś, że nie masz żadnych planów. Przecież mamy razem żeglować, więc możesz spędzić noc u mnie.

- Ale nie mam ze sobą ani czystych ubrań, ani...

- Wiem, że jesteś niezwykle schludną osobą. - Pocałował ją, by rozwiązać resztkę jej wątpliwości. - No dobrze. Zgodzę się na kompromis. Ale tylko na jeden: z samego rana pojedziemy do ciebie. Tam przebierzesz się, zrobisz, co będzie konieczne, i dopiero potem pojedziemy na przystań. - Uśmiechnął się.

Marcie odpowiedziała uśmiechem.

- Wygląda na to, że wszystko już ustaliłeś - powiedziała. - Mnie pozostało już tylko zgodzić się. - Żartobliwie pociągnęła go za ucho.

Chance odsunął z jej czoła niesforny kosmyk i pogłaskał ją po policzku.

- Masz może na coś ochotę? - spytał z troską. Nagle poderwał się. Usiadł gwałtownie. - Wiem! Założę się, że jesteś głodna. Przecież obiecałem ci coś do jedzenia. Szczerze mówiąc, też bym chętnie coś zjadł. - Wyskoczył z łóżka. - Zobaczę, co da się znaleźć w kuchni.

Pochylił się i z czułością pocałował ją w usta.

- Zaraz wrócę - rzucił.

Marcie ułożyła się wygodniej w miękkiej pościeli. Miała wiele spraw do przemyślenia. Swoje uczucia i emocje. Lecz jednego była najzupełniej pewna. Zwyczajnie i po prostu kochała Chance'a Fowlera.

Naciągnęła koc aż po szyję i zamknęła oczy. Czuła się pewnie i bezpiecznie. Jak w kokonie utkanym ze złotych nitek miłości. Nie wiedziała, co przyniesie jej przyszłość. Lecz dopóki przyszłość oznaczała bycie z Chance'em Fowlerem, wszystko powinno dobrze się układać.

Chance nie poddawał się euforii tak łatwo.

Gdy znalazł się w kuchni, nalał sobie wina i z kieliszkiem w dłoni stanął w drzwiach wiodących na patio. Nie mógł zaprzeczyć, że Marcie znaczyła dla niego więcej niż ktokolwiek dotąd. Jednak to właśnie napawało go lękiem.

Miał trzydzieści sześć lat. Nigdy przedtem nie był tak naprawdę zakochany. Pożądał wielu kobiet, skorzystał z wielu okazji. Lecz nigdy nie kochał. Teraz też nie wiedział, czy to jest miłość. Tak jak nie był pewien, czy zdoła zmienić swoje zdanie na temat małżeństwa.



Stał, wsparty o szklane drzwi, ze wzrokiem wbitym w mrok. Wiedział, czego chce. Ale wcale nie był pewien, czy potrafi zrobić wszystko, by to osiągnąć. Czy Marcie zgodziłaby się spędzić z nim resztę życia? Czy postąpiłby uczciwie, gdyby jej to zaproponował?

- Chance?

Jej głos wyrwał go z zamyślenia. Odwrócił się gwałtownie. Była urzekająco ponętna i cudownie piękna. Zmierzwiłone włosy wskazywały, że wyszła właśnie prosto z łóżka. I zachęcały, by znów ją tam zaprowadzić. Podeszła do niego. W oczach miała lęk i niepewność.

- Wszystko w porządku? - spytała. - Nie wracałeś tak długo. Niepokoiliam się.

Przytulił ją. Słowa uwięzły mu w gardle. Jęknął tylko cicho, gdy ujął jej twarz w dłonie. Spojrzał głęboko w zamglone oczy. Wejrzał w jej duszę. Pocałował.

Marcie czuła gorący dotyk i ogarniającą ją słabość. Tylko dzięki drzwiom, o które się opierała, i ramionom Chance'a, nie upadła. Zarzuciła mu rękę na szyję i zachęcająco rozchyliła wargi. Chance natychmiast skorzystał z zaproszenia, a jego ręce rozpoczęły niecierpliwą wędrówkę po jej ciele.

Jeszcze nigdy Chance nie czuł tak gwałtownego pożądania. Objął Marcie w pasie i uniół ją do góry. A ona opasała go nogami, pocałowała. Wszedł w nią po chwili i wypełnił miłosnym żarem, który sprawił, że ich serca łomotały w zgodnym, szalonym rytmie.

## *ROZDZIAŁ SIÓDMY*

Wychodząc na ciemne patio, Chance rzucił okiem na kuchenny zegar. Dochodziła piąta rano. Pierwsze promienie wschodzącego słońca nieśmiało różowiły niebo. Ostrożnie wysliznął się z łóżka. Nie było potrzeby budzenia Marcie tylko dlatego, że on nie mógł zasnąć.

Noc, która właśnie dobiegała końca, dała mu wszystko, czego pragnął. I wszystko, czego mógł się obawiać. Był oczarowany, podniecony i oszołomiony. Zakochany.

I śmiertelnie przerażony.

Nie potrafił wyobrazić sobie życia bez Marcie Roper. Ale nie wiedział, czy będzie umiał zrobić wszystko, co konieczne, by mogło to trwać wiecznie. Nie był pewien samego siebie. Jak mógł wierzyć, że wytrwa w stałym związku, jeżeli życie nauczyło go, że szczęście w małżeństwie jest tylko ułudą?

Staął na skraju basenu i wbił wzrok w wodę. O ileż prostsze byłoby życie, gdyby pozwolił tamtemu natrętnemu fotografowi zrobić kilka zdjęć. Wskoczył do wody i wolno pokonywał kolejne metry. Miał nadzieję, że kąpiel zmyje zeń wszelkie wątpliwości i obawy. Mylił się. Kiedy dopłynął do końca basenu, nic się nie zmieniło. Odbił się mocno od ściany i popłynął z powrotem.

Gdy wynurzył głowę, ujrzał Marcie.

Stała na brzegu basenu i przyglądała się mu. Miała na sobie jego koszulę. Na sam jej widok poczuł mrowienie na całym ciele.

- Przepraszam, jeśli cię zbudziłem. Starłem się zachowywać bardzo cicho. - Podpłynął tuż do niej.

- Nie zbudziłeś mnie. - Promienny uśmiech rozjaśnił jej twarz. - Długo już nie śpisz? - Usiadła i zanurzyła nogi w niespodziewanie cieplej wodzie.

- Nie, niedługo. - Położył rękę na jej kolanie. - Przyłączysz się do mnie? Jest jeszcze dość ciemno. Nie musisz wkładać kostiumu. - Stał między jej

udami, głaszcząc ją po łydce. Kiedy wsunął ręce pod koszulę, Marcie poczuła budzące się podniecenie.

Potem Chance oparł się o skraj basenu i uniósł się na rękach. Wtulił twarz między rozchylone brzegi koszuli. Odszukał wargami wyprężoną sutkę.

Marcie nie była pewna, czy to Chance wciągnął ją do wody, czy ona sama zsunęła się z krawędzi. Mniejsza z tym. Skutek był taki, że po chwili dwa splecione w uścisku ciała trwały w namiętnym pocałunku. Żądze minionej nocy budziły się po raz kolejny.

Zmierzchało już, gdy Marcie i Chance zacumowali i sklarowali „Celeste”. Szli do samochodu, trzymając się za ręce. Przed otwarciem drzwiczek Chance objął ją mocno.

- Dziękuję, że zechciałaś spędzić ze mną ten dzień - powiedział.

- Dziękuję, że zabrałaś mnie na jacht. Nigdy dotąd nie żeglowałam. Teraz rozumiem, czemu tak bardzo to lubisz. Poza tym ucieszyło mnie spotkanie z Dave'em i Bonnie. Są szalenie sympatyczni.

- To bardzo porządni ludzie. Widziałem, że i oni byli zadowoleni z poznania ciebie. - Chance musnął jej wargi delikatnym pocałunkiem. Zniżył głos i szepnął: - Dziękuję, że spędziłaś ze mną noc.

Przez całą drogę milczeli, zatopieni w myślach. Kiedy znaleźli się przed domem Marcie, odprowadził ją do drzwi. Zatrzymał się na ganku, nie wypuszczając jej ręki. Poglaskał ją po policzku.

- Czy uważasz, że mógłbym spróbować przekonać cię, byś i tę noc spędziła ze mną? - spytał.

Choć propozycja była bardzo kusząca, Marcie wiedziała, że powinna wrócić do rzeczywistości.

- Jutro muszę otworzyć sklep. Zawsze po Dniu Dzięczynienia ludzie robią największe zakupy.

- W porządku. - Chance przytulił ją. - To może ja mógłbym zostać u ciebie? - Złożył na jej ustach szybki pocałunek.

Marcie wsparła głowę na jego ramieniu. Na samą myśl o kolejnej nocy spędzonej z Chance'em Fowlerem, poczuła budzące się pragnienia. Ale wszystko toczyło się tak szybko. Zbyt szybko. Marcie potrzebowała więcej czasu do zastanowienia.

Przedłużające się milczenie powiedziało mu wszystko. Wyjął jej klucz z ręki i otworzył drzwi. Weszli do środka. Chance objął Marcie i szepnął jej wprost do ucha:

- Nadal nie odpowiedziałas na moje pytanie. - Pocałował ją w usta. - Bardzo chciałbym spędzić tę noc tutaj, z tobą.

- Raczej nie powinienes. - Marcie z trudem próbowała zebrać myśli. - Czeka mnie jutro ciężki dzień. Powinnam się porządnie wyspać. - Dostrzegła rozczarowanie na jego twarzy. - Rozumiesz to, prawda? - spytała, obejmując go.

- Jasne. Ja też mam to i owo do zrobienia. - W jego głosie słychać było zawód. - Zjesz ze mną jutro kolację? A może wybierzemy się do kina?

- Dobrze. - Marcie uśmiechnęła się. - Chętnie. Bardzo chętnie.

Chance pocałował ją i z ociąganiem poszedł do samochodu. Marcie długo patrzyła za niknącymi w oddali światłami auta. Potem dokładnie zamknęła drzwi.

Miała za sobą najbardziej niewiarygodną noc w całym życiu. Nim wschodzące słońce rozświetliło niebo, kochali się trzy razy. Za każdym razem coraz bardziej namiętnie. Wciąż czuła zawrót głowy. Jakby trafiła do świata baśni. Wiedziała, że musi się z niego wyrwać i wrócić do rzeczywistego świata. Była przecież mądrą, trzeźwo myślącą kobietą.

Niestety, gdy tylko byli razem, cały jej rozsądek diabli brali. Wystarczyło jedno jego dotknięcie, jedno spojrzenie nawet, a już odżywały złudne nadzieje. I tak radość kochania przeplatała się z uczuciem lęku.

Nie tylko Marcie biła się z myślami tego wieczoru. Chance przez całą drogę do domu też się zastanawiał, co powinien robić dalej. Jednego był pewien.

Był zakochany. Po prostu i zwyczajnie zadurzył się w Marcie Roper. Jednak nie miał zielonego pojęcia, co począć z tym fantem.

Kiedy dotarł do domu, szara codzienność szybko przywołała go do porządku.

Na automatycznej sekretarce czekały nań nagrane dwie informacje. Pierwsza od Scotta Blake'a z San Francisco, druga od Anne Metcalfe, wieloletniej sekretarki jego ojca. Najpierw zadzwonił do Scotta. To była dla niego sprawa o wiele ważniejsza.

- Scott, tu Chance. Co mogę dla ciebie zrobić? Masz jakieś kłopoty w Oakland?

- Nie, żadnych. Idzie nam nawet szybciej, niż się spodziewałem. Chciałbym się z tobą w najbliższym czasie spotkać. Powinieneś obejrzeć i zatwierdzić wykonane dotychczas prace. Kiedy mógłbyś przyjechać?

- Sprawdzę terminarz i zadzwonię do ciebie jutro z samego rana, dobrze?  
- Szybko skończył rozmowę. Nie miał chęci jechać tam zbyt szybko.

Potem zaczął wybierać numer telefonu Anne Metcalfe, lecz rozmyślił się. Był Dzień Dziękczynienia i nawet najwierniejsi pracownicy ojca powinni mieć wolne. Tyle tylko, że Anne Metcalfe była wyjątkowo sumienna. Ale ponieważ nie wspomniała ani słowem, o co chodzi, Chance uznał, że sprawa może poczekać do jutra. Poza tym myślami i tak wciąż był przy Marcie.

Ranek jest mądrzejszy od wieczora, pomyślał. Przejrzał kilka dokumentów, zjadł coś i poszedł do sypialni. Siadł na łóżku i wygładził zmięte prześcieradło. Tam właśnie kochali się z Marcie po raz pierwszy i drugi. Trzeci raz był w basenie, o wschodzie słońca. Jeszcze nigdy jego serce nie było tak pełne szczęścia i radości.

Siedział bez ruchu, niezdecydowany i pełen wątpliwości. W końcu westchnął ciężko i sięgnął po telefon. I tak był niemal pewien, w jakiej sprawie dzwoniła Anne Metcalfe. Chciał mieć to już za sobą.

- Anne, tu Chance. Masz dla mnie jakieś rozkazy od szefa w sprawie corocznych uroczystości, prawda? - Nie potrafił powstrzymać się od sarkazmu. - Domyślam się, że zostałem wezwany do stawienia się w siedzibie rodu na kolejne wzruszające spotkanie rodzinne. Trzeba przecież umożliwić fotografom wykonanie nowego portretu rodziny. W końcu na ubiegłorocznej fotografii jest jeszcze pani Douglasowa Fowler numer pięć. A bardzo chcielibyśmy, żeby Joan mogła zająć należne jej teraz miejsce.

- Ależ Chance. To przecież Boże Narodzenie. Pora, kiedy twojemu ojcu naprawdę zależy na tym, żeby zebrać razem całą rodzinę.

- Daj spokój, Anne - przerwał jej Chance. Próbował skryć prawdziwe uczucia pod maską oschłego cynizmu. - Nie wiem, ile staruszek ci płaci, ale wygląda na to, że wystarczająco dużo. Dość będzie miał rodziny i beze mnie. Stawią się tam wszyscy moi wujowie i wszystkie ciotki. A także kuzyni i ich dzieci. Wszyscy razem i każdy z osobna będą zabiegać o jedno jego spojrzenie, żeby uszczknąć choć odrobinę z rodzinnej fortuny. Ja nie jestem zainteresowany. Naprawdę ani nie potrzebuję, ani nie chcę jego pieniędzy.

- Skoro już o pieniądzach mowa... Twój ojciec kazał mi spytać, czemu odesłałeś mu czek, który wysłał ci w zeszłym miesiącu na urodziny?

- Już powiedziałem. Nie potrzebuję i nie chcę jego pieniędzy. Świetnie radzę sobie sam.

- Ale to był prezent urodzinowy.

- To był tylko zwykły czek. Podpisany przez głównego księgowego waszej korporacji, wysłany przez sekretariat firmy. Niczym nie różnił się od tych, którymi ojciec opłaca rachunki. Ja nie jestem nie zapłaconym rachunkiem.

- Odetchnął głęboko, by uspokoić rozdygotane nerwy. - Nie chciałem być niegrzeczny, Anne, ale jestem bardzo zmęczony. Przekaż mi po prostu świąteczne rozkazy i nie próbuj usprawiedliwiać ojca.

- Twój ojciec postanowił, że w tym roku zjazd rodzinny odbędzie się szóstego grudnia. Za tydzień od najbliższej niedzieli. Będziesz oczekiwany o

godzinie pierwszej. Obiad przewidziano na czwartą. O godzinie szóstej będą otwierane prezenty dla dzieci, a dorośli wymienią się podarkami o dziewiątej.

- To będzie prawie trzy tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Czemu tak wcześnie?

- Bowiem później twojego ojca i Joan nie będzie. Zamierzają spędzić święta i Nowy Rok na Tahiti. Czy ten termin ci odpowiada?

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by tak było. - Chance nawet nie próbował ukryć ironii w głosie. - Za nic nie chciałbym stracić możliwości uczestniczenia w świątecznej szopce ojczulka.

Chance odłożył słuchawkę i wpisał informację o spotkaniu do terminarza. Wciąż jeszcze myślami był przy rozmowie z Anne. Uświadomił sobie, z jakim napięciem w głosie przekazywała mu informacje, i poczuł wyrzuty sumienia. Nie powinien był być wobec niej tak uszczypliwy. Wszak ona starała się tylko jak najlepiej wykonywać swoją pracę. Postanowił wysłać jej bukiet kwiatów z przeprosinami.

Zgodnie z przewidywaniami Marcie, piątek po Dniu Dziękczynienia był wyjątkowo męczący. Już kiedy o ósmej otwierała sklep, przed drzwiami stał tłumek klientów. I tak było aż do przerwy na lunch. Potem zrobiło się trochę spokojniej. Zmieniła więc dekoracje na wystawie, a potem zajęła się przygotowywaniem zaproszeń na świąteczny bal, który organizowała dla pracowników. Była tak zajęta, że ze zdziwieniem spojrzała na ubranego już do wyjścia Glena.

- Pozamykałem wszystko i zabezpieczyłem. Wszyscy poszli już do domów. Potrzebujesz jeszcze czegoś ode mnie?

- Nie, dziękuję. - Marcie uśmiechnęła się. - Dobranoc, Glen. Do zobaczenia jutro.

Zamknęła za nim frontowe drzwi i zabrała się do porządkowania kasy. Chance nie odezwał się przez cały dzień. Sądziła, że byli umówieni na ten wieczór. Tak jej się przynajmniej wydawało. Co chwila podnosiła oczy znad

rachunków i wyglądała przez okno. W końcu przyszedł moment, gdy pozostało jej już tylko włączyć alarm, zamknąć drzwi i odjechać.

Starła się wyrzucić Chance'a z pamięci. I bez niego miała dość spraw do załatwienia. Bożonarodzeniowe przyjęcie miało odbyć się u niej w domu, czternastego grudnia o godzinie szóstej wieczorem. Zatem najdalej następnego ranka musiała wysłać zaproszenia szczególnie ważnym klientom. Trzeba było zaadresować koperty i nakleić znaczki. Pracownicy znali już termin, więc zaproszenia mogła wręczyć im przy wypłacie.

Rozejrzała się po domu.

Właściwie wszystko było już gotowe. Oprócz świątecznych dekoracji. Nie pozostało jej więc nic innego, jak tylko zabrać się do roboty. Wtedy zadzwonił telefon.

- Słucham?

- Cześć! - usłyszała głos Chance'a. - Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam?

- Nie, skądże. - Marcie uśmiechnęła się mimo woli.

- Zamierzałem przyjechać po ciebie, gdy będziesz zamykać sklep, ale spotkanie nieco się przeciągnęło. Masz wciąż ochotę gdzieś się ze mną wybrać?

Powiodła wzrokiem po stertach pudełek i opakowań wypełniających cały pokój.

- Jestem w środku takiego bałaganu, że chyba powinnam zostać w domu. Pogniewasz się, jeśli odłożymy to na kiedy indziej?

- Sądząc po głosie, musisz być bardzo zmęczona. Jak minął dzień?

- Był bardzo pracowity. Prawdę mówiąc... - Marcie spojrzała na stos zaadresowanych kopert - zabrałam jeszcze nawet pracę do domu.

- Naprawdę? - Marcie nie była całkiem pewna, czy Chance pytał poważnie, czy żartował. - Zawsze sądziłem, że szef wydaje polecenia innym, a sam nie pracuje po godzinach.



- Może tak to wygląda w świecie wielkich interesów. - Marcie odchrząknęła nerwowo. - To nie dotyczy właścicieli małych przedsiębiorstw.

- Muszę wyjechać do San Francisco na dzień czy dwa. Skoro nie spotkasz się ze mną dzisiaj, to może pojechałabyś ze mną?

- Sama nie wiem. Muszę pilnować interesów i...

- Możemy wyjechać w sobotę, kiedy już zamkniesz sklep. Noc spędzimy w San Francisco. W niedzielę szybko załatwię moje sprawy i wieczorem wrócimy. Co ty na to?

Marcie zacisnęła powieki, żeby opanować budzące się w niej podniecenie. Nie musiała przecież zajmować się sklepem w niedzielę.

- Zgoda. To całkiem interesująca propozycja - powiedziała.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut. Marcie nigdy wcześniej nie decydowała się na takie eskapady. Tym razem zrobiła to. I, co ciekawsze, wcale nie miała poczucia winy. Najzwyczajniej w świecie wróciła po prostu do przerwanych zajęć.

Porozwieszała i porozstawiała wszystkie ozdoby. Przygotowała świece. Zawiesiła lampiony na patio. Pozostało tylko ustawić i ubrać choinkę. Ale na to miała jeszcze dużo czasu. Spojrzała na zegar i ze zdumieniem zorientowała się, że zbliża się północ.

W pośpiechu przygotowała się do snu i wskoczyła do łóżka. Jej myśli same pobiegły do Chance'a Fowlera i wyjazdu do San Francisco. Zastanawiała się, jakież to interesy miał do załatwienia w niedzielę.

Powieki ciążyły jej coraz bardziej. Usnęła. I śniła pełne erotyki i miłości sny.

Szybko wyszli z samolotu. Wynajęli samochód i po kilku minutach opuścili lotnisko San Francisco. Skierowali się w stronę centrum. Kiedy jednak wjechali na Golden

Gate Bridge i omijając miasto, jechali dalej na północ, Marcie zaniepokoiła się nieco.

- Wydawało mi się, że mówiłeś, iż masz dom w San Francisco? -  
powiedziała.

- Nad Zatoką San Francisco, mówiąc ogólnie. A dokładniej, zaraz za mostem, w Tiburon. Będziemy tam za kilka minut.

I rzeczywiście. Niedługo później Chance wprowadził auto do garażu i zaprowadził Marcie na taras.

- Och, Chance! Cóż za cudowny widok na całe miasto!

- Marcie pełną piersią wciągnęła orzeźwiające powietrze znad oceanu. -  
Mogłabym stać tak i patrzeć w nieskończoność.

Stali, głowa przy głowie, przytuleni.

- Kupiłem ten dom, kiedy jeszcze nie był gotowy. Tylko raz ujrzałem ten widok i już wiedziałem, że muszę go mieć. - Pocałował Marcie w policzek.  
Chłód nocy sprawił, że zadrzała.

- Zimniej tu niż w San Diego - mruknął jej wprost do ucha. - Chodźmy do środka. Rozpalimy wspaniały ogień na kominku. - Odwrócił Marcie twarzą do siebie. Musnął pocałunkiem jej wargi. - I będziemy kochać się jak szaleni

- szepnął głucho. - Co ty na to?

- To wspaniały pomysł. - Marcie zamknęła oczy i oparła mu głowę na ramieniu.

Jak poprzednie, także i ta noc spełniła ich najśmielsze oczekiwania. Pełna była miłości i zmysłowości, spokoju i zaspokojenia. Delikatne pocałunki i łagodne pieszczoty nieubłaganie doprowadziły ich oboje na niespotykane szczyty rozkoszy. I choć każde z osobna czuło, że coraz mocniej kocha drugie, ich miłość wciąż pozostawała nie wypowiedziana.

Spali spleceni w uścisku, dopóki nie zbudziło ich słońce. Rozkoszując się rześkimi powiewami znad oceanu i bajeczną panoramą San Francisco po drugiej stronie zatoki, pili poranną kawę na tarasie.

Chance ujął jej dłoń i pocałował. Splótł palce z jej palcami. Chrząknął.

- Czy masz już jakieś plany na następną niedzielę? - spytał w końcu.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Czemu pytasz?

- To dobrze - uśmiechnął się. - Na następną niedzielę ojczulek zarządził doroczny, bożonarodzeniowy obiad rodzinny. Byłbym szczęśliwy, gdybyś zechciała mi towarzyszyć.

Marcie nie była w stanie ukryć zdumienia.

- Chcesz mnie pokazać swojej rodzinie?

- Tak. Coś w tym rodzaju. - Nie takiej spodziewał się odpowiedzi. Przez myśl mu nie przeszło, że ona tak może odebrać jego pragnienie, by widzieć przy stole choćby jedną przyjazną twarz. Dostrzegł zmieszanie w jej oczach.

- Coś w tym rodzaju? Nie rozumiem - powiedziała.

- Trochę źle to zabrzmiało. - Chance zmusił się do uśmiechu. - Chodziło mi tylko o twoje towarzystwo. O jedną uśmiechniętą twarz, która rozjaśni ponurą atmosferę.

Marcie przyglądała mu się z przechyloną na bok głową. Choć mówił do niej tonem lekkim i obojętnym, dostrzegła głęboki mrok na dnie jego oczu. Wydało się jej nagle, że zrozumiała Chance'a doskonale. Dobrze знаła samotność świąt.

- Powiedziałeś to ze smutkiem - zauważyła.

Zamiast odpowiedzieć, Chance pochylił się i pocałował ją. Przyciągnął do siebie i zamknął w ramionach.

- Naprawdę chodziło mi tylko o to, że twoja obecność wniosłaby powiew świeżości do tego zgromadzenia. I że sprawiłabyś mi tym wielką przyjemność.

- Któż oparłby się chęci bycia powiewem świeżości - roześmiała się. - Będę zaszczycona, mogąc ci towarzyszyć.

Umilkli, pogrążeni we własnych myślach. Marcie zastanawiała się nad znaczeniem otrzymanego zaproszenia. Czy rzeczywiście było tak, jak Chance powiedział, czy kryło się za tym coś więcej? Sprawy między nimi toczyły się tak szybko, że chwilami zupełnie traciła głowę.

- Za godzinę mam spotkanie ze Scottem Blakiem - powiedział Chance. - Musimy pojechać do Oakland, by obejrzeć dom, który remontujemy. Masz ochotę pojechać ze mną, czy wolisz raczej zostać tutaj i odpocząć? Nie będzie mnie tylko przez kilka godzin.

- Wolalabym z wami pojechać, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie mam. - Chance pocałował ją w czoło i poszedł wziąć prysznic.

Stał bez ruchu w strumieniach gorącej wody. Właściwie zupełnie nie wiedział, czemu zaprosił Marcie do domu ojca. Miał tylko nadzieję, że nie popełni błędu, pokazując ojcu, że w jego życiu pojawił się ktoś wyjątkowy.

Śniadanie zjedli w małej restauracji z widokiem na ocean. Potem pojechali do Oakland. Scott Blake już czekał.

- To wygląda fantastycznie, Scott - powiedział Chance, gdy skończyli oglądać dom. - Za kilka tygodni powinieneś już skończyć remont. - Porozmawiam z agentem, czy od razu wystawić go na sprzedaż, czy raczej zrobić to dopiero po świętach. A przy okazji poproszę, żeby zaczął rozglądać się za następnym budynkiem.

Chance podpisał jeszcze niezbędne dokumenty i pożegnał się ze Scottem.

- Nie ma jeszcze południa, a nasz samolot odlatuje dopiero o dziesiątej wieczorem - powiedział, gdy jechali z powrotem. - Czy jest coś, na co masz szczególną ochotę? - spytał Marcie.

- Czy wystarczy nam czasu na wycieczkę do winnic w Napa albo w Sonoma?

Chance spojrział na zegarek i uśmiechnął się.

- Tak, zdążymy na pewno. A gdybyśmy nawet nie zdążyli, zawsze możemy polecieć do San Diego jutro z samego rana.

To był naprawdę udany dzień. Odbyli cudowną wycieczkę do winnic. Na koniec Chance zgotował Marcie niezwykłą niespodziankę: lot balonem nad doliną Napa. Z radością patrzył na szczęście i zachwyty malujące się na jej

twarzy. Nigdy przedtem nie czuł tak bardzo bliskości innej osoby. Nie wiedział, co to znaczy prawdziwa miłość. Aż do tej chwili.

## ***ROZDZIAŁ ÓSMY***

Marcie zdołała dotrzeć do domu dopiero w poniedziałek w porze lunchu. Było już tak późno, kiedy wylądowali na lotnisku w San Diego, że zgodziła się zanocować u Chance'a. Rano zawiózł ją wprost do sklepu. Przez cały dzień wciąż rozpamiętywała wycieczkę do San Francisco. Tak była podekscytowana, że z trudem koncentrowała się na pracy.

Prawdziwy Chance Fowler w niczym nie przypominał tego złotego młodzieńca z pierwszych stron gazet. Jakby chodziło o dwóch różnych ludzi z całkiem innych światów. Jej Chance Fowler był rozważny, delikatny, opiekuńczy i miał niezwykle poczucie humoru. A ona kochała go do szaleństwa. Czy można kochać kogoś zbyt mocno? zastanawiała się. Wiedziała, że dla niej nie było już odwrotu.

Kiedy wpadła do domu, porwała ze stolika kilka zaproszeń na jej firmowe przyjęcie bożonarodzeniowe i pojechała do remontowanego przez Chance'a domu. Zaparkowała obok ciężarówki Hanka Varneya i wbiegła do domu.

- Hank! Masz czas?

- Jasne, Marcie. Czym mogę służyć?

- Każdego roku wydaję przyjęcie bożonarodzeniowe dla pracowników i niektórych klientów. Chciałabym w tym roku zaprosić ciebie i twoich ludzi. -  
Podała mu barwne kartoniki. - Tu znajdziesz adres i termin. Będę na was czekać.

Hank był wyraźnie zaskoczony, ale też i zadowolony.

- Dziękuję, Marcie. To bardzo miło z twojej strony. Przyjedziemy na pewno.

Porozmawiali jeszcze chwilę. Potem Marcie wyszła do ogrodu, żeby zobaczyć się z Erikiem Rossem, szefem jej ogrodników.

- Jak leci, Eric? - Rozglądała się, oceniając uważnie postęp robót.

- Nieźle. To rozkosz realizować tak wielki projekt bez właściciela nieustannie gapiącego się człowiekowi na ręce.

- Zaprosiłam właśnie Hanka i jego ekipę na nasze przyjęcie. Gdyby ktokolwiek miał jakieś wątpliwości czy obawy, wyjaśnij, że nie obowiązują żadne oficjalne i wyszukane stroje.

- Oczywiście, nie ma sprawy. - Zawahał się przez moment. - Jest coś, o czym powinnaś porozmawiać z Glenem. Jeden z tych chłopaków z budowy, Bob, bardzo interesuje się naszą pracą. Zadaje mnóstwo pytań. I odnoszę wrażenie, że bardzo by mu ona odpowiadała. Ten Bob wygląda na przyzwoitego młodzieńca i naprawdę solidnie pracuje. Może na przyjęciu Glen mógłby z nim o tym pogadać?

- Powiem mu o tym jeszcze dzisiaj. Pracy wciąż nam przybywa, tak że jeśli nie przyjmimy kogoś nowego, to Glen niedługo zapracuje się na śmierć.

Tydzień minął nie wiadomo kiedy. Dni Marcie były bez reszty wypełnione pracą, ale noce należały do Chance'a.

Często wkładali ciepłe kurtki i spacerowali po skąpanej w księżycowej poświacie plaży. Raz wybrali się na kolację do restauracji. Innym razem wypożyczyli filmy na kasetach i oglądali je do późna. Nie miało znaczenia, gdzie i co robili, jeśli tylko byli razem. To były najszczęśliwsze dni w życiu Marcie.

Jak również w życiu Chance'a. Lecz z upływem czasu był coraz bardziej zdenerwowany. Dręczyły go wątpliwości, czy słusznie postąpił, zapraszając Marcie na przyjęcie do ojca.

Kiedy w sobotni wieczór wracali z kina, odprowadził ją aż do drzwi jej domu.

- Byłeś dzisiaj bardzo milczący, Chance - powiedziała Marcie. - Czy stało się coś?

Chance uniósł do ust jej dłoń i pocałował. Ale Marcie odniosła wrażenie, że był to tylko odruchowy gest. Chance myślami był zupełnie gdzie indziej.

- Chance? - powtórzyła zaniepokojona. - Dobrze się czujesz? Czy stało się coś złego?

- Co? - Otrząsnął się, jakby przebudzony z głębokiego snu. - Przepraszam, chyba się zamyśliłem.

- Może chciałbyś ze mną o czymś porozmawiać?

- To nic istotnego. Obawiam się tylko, że może czujesz się w obowiązku towarzyszyć mi w jutrzejszym obiedzie. To naprawdę nic ekscytującego. Zapewniam cię, że nie będzie to szczególnie atrakcyjny dzień. Jeśli tylko nie masz ochoty jechać, powiedz, proszę. Doskonale to zrozumiem.

Obawy Marcie nagle wzrosły.

- Zabrzmiało to tak, jakbyś próbował odwieść mnie od tego zamiaru. - Zamilkła, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. - Wolałbyś, żebym z tobą nie jechała?

Chance pocałował ją w usta. Miętko i delikatnie. Nie mógł nie dostrzec jej rozczarowania i zawodu.

- Oczywiście, że pragnę, żebyś ze mną pojechała. Nie chciałbym tylko, byś czuła się tam niezręcznie i nudziła przez cały dzień. Nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty. Tylko tyle.

- Jesteś pewien?

- Jak najbardziej. - Przytulił ją mocno. Bardzo pragnął, by była to prawda.

Chance pomału wjechał na kolisty podjazd przed ogromnym domem otoczonym pedantycznie utrzymanym trawnikiem. Stało tam już kilka samochodów. Zatem większość gości była na miejscu. Poczul, że jego żołądek zamienił się kamień. Zapragnął objechać podjazd dokoła i zostawić za plecami

ten dom, zgromadzonych w nim ludzi i tyranie ojca, która ich tam wszystkich zebrała. Zaczerpnął powietrza, zacisnął zęby i zmusił się do uśmiechu.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział do Marcie. - Tak powinien; według mego ojczulka, wyglądać pełen ciepła dom rodzinny.

Gdy Chance przyjechał po nią rano, Marcie zauważyła, jak bardzo jest spięty. Lecz postanowiła robić dobrą minę do złej gry. Nie chciała dokładać mu zmartwień.

- Marcie. - Odwrócił się ku niej, jakby wcale nie zamierzał wysiąść. Poglaskał ją po policzku, odgarnął kosmyk włosów z czoła. - Chyba widzisz, że nie jestem w najlepszym nastroju. Te coroczne świąteczne spędy wyprowadzają mnie z równowagi. Sam już nie wiem, czy powinienem przeproszać, że cię w to wplątałem, czy dziękować, że zgodziłaś się mnie wspierać. Myślę, że należy zrobić jedno i drugie. Sądzę, że nie będzie to dla ciebie szampańska zabawa, ale dla mnie będziesz tu dzisiaj jedynym oparciem. - Pochylił się i pocałował Marcie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła.

- Szczerze mówiąc, wątpię - uśmiechnął się przepaszająco. Wykonał kilka uspokajających oddechów. - No to chodźmy - westchnął, siląc się na entuzjazm. Wsiadł z auta, otworzył jej drzwiczki i poprowadził do wejścia.

Wielkie, dwuskrzydłowe drzwi otwarły się i stanął przed nimi imponującej postury mężczyzna. Od razu widać, że to Douglas Fowler, pomyślała Marcie. Ojciec i syn podobni byli jak dwie krople wody. Oprócz jednego. Błękitne oczy Chance'a budziły zaufanie. Natomiast błękit oczu ojca był stalowo zimny.

Douglas Fowler zrobił krok ku przybyłym.

- Dobrze, że cię widzę, Chance - powiedział. Obrzucił Marcie szybkim spojrzeniem. - Nie wspominałeś, że przywieziesz gościa - dodał.



Marcie poczuła, jak spoczywająca na jej plecach dłoń Chance'a zadygotała z tłumionej wściekłości. W jednym krótkim zdaniu jego ojciec pomieścił krytykę, wymówkę i oskarżenie.

- Nie sądziłem, że jedna osoba więcej sprawi ci jakąś różnicę. Wierzę, że nie braknie jedzenia i miejsca przy twoim stole - odrzekł gorzko Chance. I szybko, nim ojciec zdołał powiedzieć cokolwiek, dokonał prezentacji:

- Marcie, to mój ojciec. Douglas Fowler. Tato, to jest Marcie Roper.

Uścisnęli sobie dłonie. Szybko i chłodno.

- Miło cię poznać, moja droga - odezwał się starszy pan z wystudiowaną uprzejmością. - Powiedz mi, proszę, jak to się stało, że ty i Chance jesteście razem? Nie wydajesz się być podobna do kobiet, które on zwykle...

- Zgubiłam pakunek na ulicy. Chance znalazł go i był tak miły, że mi go odwiózł - przerwała mu Marcie z miłym uśmiechem, choć słowa Fowlera seniora raniły ją jak sztylety.

W pierwszej chwili czuła się onieśmielona. Lecz wyraźnie lekceważący ton pana domu wprowadził ją we wściekłość. Zdawała sobie sprawę, że gdyby mu nie przerwała, na pewno doszłoby do przykrej wymiany zdań, czego później mogłaby żałować. Nie chciała stawiać Chance'a w kłopotliwej sytuacji.

- Chodź, pokażę ci wszystko - zaproponował Chance. Zostawił stojącego przed drzwiami ojca i wprowadził ją do domu. Marcie aż zaparło dech w piersiach z zachwyty.

- Och, Chance! To niewiarygodne! Jak wyjęte z „Przeglądu Architektonicznego”!

- Już nic lepszego nie można było kupić - mruknął Chance zgryźliwie.

Marcie, z wypiekami na twarzy, rozglądała się po wielkim, jak z bajki wyjętym salonie. Pod łukowymi sklepieniami wisały wspaniałe świąteczne ozdoby. W centralnym punkcie stała ponad trzymetrowej wysokości choinka. Wszędzie widać było olbrzymie pieniądze i prestiż gospodarza.

Przepych i bogactwo tego wnętrza onieśmieliły Marcie. Znalazła się w zupełnie obcym i chyba niezbyt jej przyjaznym świecie.

- Boisz się? - usłyszała szept Chance'a. Pomału prowadził ją do następnego pokoju, gdzie zgromadzili się inni goście. Dorośli i dzieci. - Chcesz stąd zmykać?

- Nie wygłupiaj się. - Marcie postanowiła nie okazywać lęku. - Nie po to tu przyjechaliśmy!

- Dobrze, ale pamiętaj, że cię ostrzegałem. Teraz nie pozostaje mi już nic innego, jak tylko przedstawić cię reszcie rodziny.

Powiedział to lekkim, żartobliwym tonem. Lecz Marcie usłyszała w jego głosie nutki strachu. Zaczynała wreszcie rozumieć powody jego małomówności. Miejsce, w którym się znajdowali, choć piękne i pełne przepychu, nie było domem. Nie było tu radości i szczęścia. Trudno więc się dziwić, że Chance z taką rezerwą odnosił się do życia rodzinnego.

Oprowadził ją po domu, przedstawił ciotkom, wujom, kuzynom i krewnym. Marcie nie mogła oprzeć się wrażeniu, że została poddana dogłębnym i bezlitosnym oględzinom. Z każdą chwilą czuła coraz większe skrepowanie. Potrafiła, oczywiście, prowadzić uprzejme rozmowy z każdym i na dowolny temat. Lecz coraz lepiej rozumiała, jak bardzo jej świat różni się od świata Chance'a Fowlera.

Wreszcie przyszedł moment, gdy wszyscy goście zostali wezwani do jadalni. Tak przynajmniej odczuła to Marcie. Nie zostali zaproszeni, ale wezwani. Douglas Fowler zasiadł u szczytu stołu.

Mimo drogocennej zastawy i wspaniałych potraw atmosfera przy stole była sztywna i poważna. Prawie nikt się nie odzywał. Tylko raz, gdy Chance pochylił się ku niej i pogłaskał ją po dłoni, Marcie poczuła odrobinę ciepła.

Po obiedzie wszyscy zebrali się w salonie. Tam Douglas Fowler wręczył prezenty dzieciom. Każde z nich, ponaglone dyskretnie przez rodziców, gorąco dziękowało patriarsze rodu.

Przed następnym punktem programu, czyli obdarowywaniem dorosłych, przewidziano krótką przerwę. Chance skorzystał z okazji. Wziął Marcie za rękę i wyprowadził ją z domu.

- Mam nadzieję, że jesteś gotowa do odjazdu. Bo ja dłużej tu nie wytrzymam - powiedział pełnym napięcia głosem.

Nie czekając na odpowiedź, wsadził ją do samochodu i już po chwili opuścili posiadłość. Milczeli przez całą drogę. Chance zatopiony był we własnych myślach. Marcie postanowiła uszanować jego potrzebę milczenia.

Już dawno nie uczestniczyła w równie nieprzyjemnym przyjęciu. Dom pełen był ludzi ostentacyjnie okazujących sobie sympatię. Lecz nawet sączące się zewsząd dźwięki kolęd nie były w stanie rozproszyć ciężkiej atmosfery. I dla niej osobiście też było to trudne doświadczenie. Jeszcze dobitniej przekonała się, jak wiele różniło ją i Chance'a.

Kiedy tylko weszli do jej domu, Chance chwycił ją w objęcia i przytulił. Głaskał po ramionach i włosach.

- Och, Marcie - westchnął ciężko. - Tak mi przykro, że naraziłem cię na to. Nie miałem prawa stawiać cię w takiej sytuacji. - Ujął w dłonie jej twarz, pocałował. Potem zajrzał w głąb jej oczu. - Dziękuję, że pojechałaś ze mną. Dzięki tobie zdołałem przynajmniej zachować spokój.

- Cieszę się, że mogłam ci pomóc. - Marcie zamilkła na moment. Nie była pewna, czy powinna pytać. Lecz ciekawość wzięła górę. - Powiedz mi, czy twoja rodzina zawsze na świątecznych obiadach przepuszcza twoje przyjaciółki przez wyzymaczkę, tak jak mnie dzisiaj?

- Nie.

Zamrugnęła powiekami, zdezorientowana.

- Chcesz powiedzieć, że tylko mnie poddano takiej obróbce? Czyżbym była pierwszą osobą spoza ich sfery?

- Nie. To znaczy, że jesteś jedyną dziewczyną, którą zabrałem z sobą na bożonarodzeniowy obiad.

Jego słowa poraziły Marcie, ale i ucieszyły. Była jedyną kobietą, którą zabrał do domu ojca. Poczwała, że jej obawy zaczynają pomału topnieć.

Chance ujął ją za rękę i poprowadził do sypialni. Czuł rozpaczliwą potrzebę zanurzenia się w ciepłe, które dawała mu jej bliskość. Po raz pierwszy w życiu tak dobitnie czuł się związany z inną osobą. I po raz kolejny ojciec udzielił mu żalostnej lekcji na temat małżeństwa i życia w ogóle. Ale z Marcie wszystko było inaczej.

Tym razem nie marnowali czasu na długie pieszczoty. Błyskawicznie pozbyli się ubrań i, zwarci w uścisku, padli na łóżko. Marcie wyczuła zarówno jego potrzebę duchowego zbliżenia, jak i fizyczne pożądanie, budzące się w nich obojgu.

Trwali w objęciach, głaskali się i całowali. Ich dłonie nie próżnowały. Ani na chwilę nie przerywały podniecającej wędrówki. Chance całował Marcie, pieścił gładką skórę jej ramion, piersi, brzucha i ud. Ona nie pozostawała mu dłużna. Z wolna rosło napięcie. Rozpalały ich coraz gwałtowniejsze żądze.

W pewnym momencie Chance zamknął usta Marcie namiętym pocałunkiem. Nie wypuszczając jej z objęć, obrócił się na plecy. Palce jednej ręki wplótł w gęstwinę jej włosów. Drugą dłonią sunął po apetycznych krągłościach kobiecych pośladków. Czubkiem języka dotknął jej języka. Wiedział, że choćby żył sto lat, nigdy nie zdoła się nią nasycić.

Oderwał się od jej ust. Jego wargi odnalazły jej naprężoną sutkę. Fale rozkoszy zaczęły przenikać ich rozpalone ciała. Marcie coraz dobitniej czuła jego podniecenie. Uniosła się nieco. A on chwycił ją za biodra i skierował prosto do celu. Wydała z siebie cichy jęk rozkoszy. Oto znów zjednoczeni byli w odwiecznym akcie miłości. Dla obojga były to niepowtarzalne przeżycia, jakich nie zaznali nigdy wcześniej. Wiedziony nagłą potrzebą zapanowania nad sytuacją, Chance przewrócił Marcie na plecy. Teraz on był górą, on dyktował tempo.

- Jesteś wspaniała - sapnął jej wprost do ucha. Potem pocałował ją zachłannie.

Ponaglani pożądaniem, złączeni wspólnym rytmem, spleceni w gwałtownym uścisku, zbliżali się do kresu. Aż zastygli, rozdygotani, z trudem łapiąc oddech.

Długo jeszcze leżeli, przytuleni. Obsypywali się pocałunkami i subtelnymi pieszczotami. Nie odzywali się. Było im razem tak dobrze, że nie potrzebowali słów.

Na koniec Marcie usnęła w ramionach Chance'a. A on wciąż czuwał. Dręczyło go wiele natrętnych myśli. Wierzył, że Marcie nie będzie miała mu za złe tego, że nakłonił ją do wizyty u jego ojca. Chociaż nie wiedział, jaka będzie reakcja Douglasa, czuł, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Marcie poruszyła się niespokojnie. Chance ostrożnie pocałował ją w czoło, ukrył głowę pod poduszką i zamknął oczy. Trzeba usnąć, jeśli i tak nie ma się żadnego wpływu na to, zrobi Fowler senior, pomyślał.

Przytulił mocniej Marcie i zapadł w sen.

## ***ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY***

Chance obudził się bardzo wcześnie. Delikatnie potrząsnął Marcie. Przeciągnęła się, otworzyła oczy i spojrzała na niego. Uśmiechnęła się leciutko. Pomyślała, że już zawsze mogłaby budzić się u boku Chance'a.

- Przepraszam, że cię budzę tak wcześnie, ale czeka mnie męczący dzień i muszę już jechać. Mam kilka umówionych spotkań. Nudnych, ale koniecznych.

- Pocałował ją i pełnym czułości gestem odgarnął z czoła potargane włosy.

Usiadła i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Lepiej, żebyś poszedł jak najszybciej. Nie chciałabym odpowiadać potem za przetrzymywanie cię tutaj wbrew twojej woli.

Chance ujął jej twarz w dłonie i zajrzał głęboko w oczy.

- Moja silna wola słabnie, gdy chodzi o ciebie. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle. - Zabrzmiało to bardzo poważnie.

Wstał, zanim Marcie zdążyła powiedzieć cokolwiek, i sięgnął po ubranie. Ubrał się szybko, schylił i pocałował ją.

- Porozmawiamy później - powiedział.

Prawie biegiem dopadł samochodu i odjechał.

Nie zamierzał mówić jej tego, ale to była prawda. Jednak wciąż nie umiał pozbyć się obaw o ich wspólną przyszłość. Zdawał sobie sprawę, że nie potrafiłby z własnej woli zerwać ich znajomości. Ale nie wiedział, czy będzie umiał zdobyć się na następny krok.

Kiedy drzwi zamknęły się za Chance'em, Marcie wstała z łóżka. Ją także czekał bardzo męczący dzień. Wciąż jednak myślała o tym okropnym obiedzie. Była wstrząśnięta. Ona, która całe życie tęskniła do rodzinnego ciepła, dla której od śmierci babci święta były najsmutniejszym okresem roku, zobaczyła, że sytuacja Chance'a była chyba jeszcze gorsza. Zapra gnęła gorąco zrobić coś, co by to zmieniło.

Douglas Fowler nacisnął guzik interkomu i warknął rozkazująco:

- Przyjdź do mnie!

Po chwili Anne Metcalfe weszła do gabinetu z notatnikiem i piórem w rękach.

- Słucham, panie Fowler? Czego pan sobie życzy?

- Czy kiedy rozmawiałaś z moim synem, wspomniał coś, że zamierza przywieźć tę młodą kobietę na świąteczne przyjęcie?

- Nie, ani słowem. Szczerze mówiąc, niewiele rozmawialiśmy. Czy jest jakiś problem?

- Nie wiem. - Fowler ponuro zmarszczył brwi. - Po raz pierwszy Chance przywiózł do domu którąś ze swoich kobiet. Rozumiem więc, że tę traktuje wyjątkowo poważnie. Ona nazywa się Marcie Roper. Mieszka w Crestview Bay. Bez wątplenia nie pochodzi z dobrej rodziny - powiedział głosem pełnym pogardy. - Jest ogrodniczką czy kimś w tym rodzaju.

Opadł na oparcie fotela i zapalił cygaro.

- Skontaktuj się z Royem McCaddanem. Ona na pewno poluje na naszą fortunę. A Chance zbyt łatwo poddaje się emocjom i uczuciom i dlatego nie zauważa jej podstępnej gry. Powiedz McCaddanowi, że chcę, by najpóźniej w czwartek dostarczył mi szczegółowy raport na jej temat.

- Tak jest, panie Fowler. Natychmiast! - Anne wróciła do swojego biurka i bez zwłoki zatelefonowała do Roya McCaddana, szefa ochrony w „Fowler Industries”.

Marcie była tak zajęta, że nie zauważyła nawet, kiedy minął dzień. Przedpołudnie spędziła nad formularzami i dokumentami. Po południu pojechała kupić upominki dla pracowników. Nic wielkiego, drobiazgi mające udowodnić, że pamięta o nich i docenia ich pracę. Poza tym zawsze bała się, że gdyby obdarowała ich kosztownymi prezentami, mogliby poczuć się zobowiązani do rewanzu. A tego chciała uniknąć.

Pod koniec dnia pojechała sprawdzić, jak postępują prace zlecone przez Chance'a. Gdy zobaczyła stojący przed domem jego samochód, była zaskoczona. A gdy zobaczyła jego samego, w starej koszulce, całego obsypanego trocinami, była zdumiona. Dopiero po chwili przypomniała sobie, co kiedyś powiedział Hank. Że czasami Chance dołącza do ekipy, żeby się trochę zrelaksować.

Przez chwilę stała w progu, przyglądając mu się. Twarz miał skupioną, usta zaciśnięte. Coś go trapiło.

- Cześć! Co za niespodzianka - powiedziała.

Chance obrócił się na pięcie. Twarz rozjaśniła się mu, wypogodziła.

- Cześć. Ja też jestem zaskoczony, że cię tu widzę.

- Otrzeptał się trochę z kurzu i wytarł ręce o spodnie.

- Masz jakiś problem, czy wpadłaś tylko z towarzyską wizytą?

- To drugie. A ty? Sądziłam, że cały dzień spędzisz na ważnych spotkaniach.

- Tylko pół dnia.

- Stało się coś złego? - spytała Marcie, zaniepokojona wyrazem jego twarzy.

- Nie. Wszystko jest w porządku. - Uśmiechnął się z przymusem. Schylił się i musnął pocałunkiem jej czoło.

- Wciąż zastanawiam się, co dalej zrobić z tymi schodami. - Ale nie tylko problem schodów zaprzętał jego uwagę. Wciąż borykał się z kłopotami osobistymi. Wierzył, że fizyczna praca, zmęczenie, pozwolą mu inaczej spojrzeć na sprawy.

Sprawy! Jakież to banalne słowo na określenie związku z ukochaną kobietą. Stał, zmieszany, przed najpiękniejszą dziewczyną na świecie i nie umiał zmusić się do powiedzenia, że ją kocha.



- Zamierzałem przyjechać po ciebie, kiedy będziesz kończyć pracę. Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór? Pomyślałem, że moglibyśmy wybrać się gdzieś razem.

- Jestem umówiona z klientami w La Jolli. Odnawiają dom i postanowili przy okazji całkowicie zmienić jego otoczenie.

- To korzystne zlecenie, prawda?

- O, tak. I bardzo fascynujące. Kiedy skończę pracę, to będzie naprawdę wspaniałe miejsce.

Porozmawiali jeszcze przez kilka chwil i Marcie ruszyła swoją drogą. Chance pewnie uważał, że ukrył przed nią prawdziwe myśli i uczucia. Ale był w błędzie. Wiedziała, że coś go trapiło. I doskonale wiedziała, co. Wciąż gryzł się bożonarodzeniowym przyjęciem u ojca.

Marcie wróciła z La Jolli bardzo późno. Na automatycznej sekretarce zastała wiadomość od Chance'a. Najpierw robił jej niedwuznaczne propozycje, a na koniec życzył przyjemnych snów. Wzruszył ją tym. Położyła się do łóżka i zasnęła przepelniona miłością.

Kolejny dzień był równie pracowity i męczący jak poprzednie. Może nawet bardziej, gdyż oprócz codziennych obowiązków Marcie borykała się jeszcze z nowym problemem. Postanowiła bowiem, że nadchodzące Boże Narodzenie stanie się dla niej i Chance'a czasem szczęścia i miłości. W tym roku będzie inaczej niż w latach minionych. Oto bowiem znalazła mężczyznę, któremu gotowa była ofiarować szczęście i uczucie. Chciała, by przykre chwile, jakie spędził w domu ojca, odeszły w przeszłość.

Świąteczne przyjęcie było tuż-tuż. Marcie bardzo zależało na tym, by było wyjątkowo udane. Przygotowywała się bardzo starannie. Każdy szczegół był ważny. Po raz pierwszy od bardzo dawna tak niecierpliwie wyczekiwała świąt.

A wszystko to działo się za sprawą Chance'a Fowlera.

Obwieszona pakunkami, z trudem otworzyła drzwi do domu. Rzuciła paczuszki na podłogę w salonie i rozejrzała się, przygnębiona. Tyle jeszcze pracy do zrobienia, tyle ozdób i dekoracji do rozwieszenia, że ręce opadają, pomyślała. Wtedy zadzwonił telefon.

- Słucham?

- Jesteś nareszcie - usłyszała głos Chance'a. - Długo cię nie było.

Dzwoniłem wiele razy, ale nikt nie odpowiadał.

Słyszając go, Marcie poczuła przyjemne ciepło wypełniające jej serce.

- Musiałam jeszcze zrobić po drodze zakupy. Nawet nie zauważyłam, że jest już tak późno.

- Zbyt późno na wizytę?

- Nie wiem. - Marcie zawahała się. Jeśli Chance dzwonił z domu, to minie trochę czasu, nim do niej dojedzie. A już dochodziła dziewiąta. - Skąd dzwonisz?

- Skręcam właśnie w twoją ulicę.

Po chwili zobaczyła na podjeździe światła jego samochodu. Z bezprzewodowym telefonem przy uchu podeszła do drzwi. Chance wysiadał właśnie z auta z komórkowym telefonem w dłoni. Rozbawiona, otworzyła szeroko drzwi.

- Nie uważasz, że lepiej będzie, jeśli rozłączymy się i porozmawiamy bez używania telefonów? Zaoszczędzisz przynajmniej trochę grosza. - Marcie wyłączyła aparat.

Chance położył telefon i kluczyki od samochodu na stole w jadalni i chwycił ją w ramiona.

- Myślę, że rozmowa bezpośrednia to wspaniały pomysł. Tak jest bardziej intymnie. - Pocałował ją.

- Przyjechałeś z San Diego, chociaż wiedziałeś, że nie ma mnie w domu? Czy może byłeś przypadkiem w okolicy i pomyślałeś, że mógłbyś wpaść na moment? - droczyła się.

- Kiedy zadzwoniłem drugi raz i nie usłyszałem nawet głosu sekretarki, zacząłem się niepokoić.

- Rozumiem. - Marcie wsparła głowę na jego ramieniu. - Postanowiłeś więc wskoczyć do auta i urządzić sobie krótką przejażdżkę.

- Coś w tym rodzaju. W końcu chodziło o twoją automatyczną sekretarkę.  
- Cień prawdziwej troski przemknął mu przez twarz.

- Moja automatyczna sekretarka? Co z nią? - spytała.

- Nie mogłem zrozumieć, jak mogłaś wyjść z domu i nie włączyć jej. - Chance musiał przyznać, że nie zabrzmiało to zbyt mądrze, ale był naprawdę zaniepokojony. Nie dlatego nawet, że chciałby wiedzieć, gdzie Marcie była. Mówiła przecież, że zamierza siedzieć w domu. A poza tym, wychodząc, zawsze włączała automatyczną sekretarkę.

Marcie wysunęła się z jego objęć i poszła do kuchni.

- I to wszystko? - spytała. - Prawda jest taka, że rano, przed wyjściem do pracy, w ogóle jej nie włączyłam. - Napelniła dwie szklanki mrożoną herbatą. - A to wszystko twoja wina.

- Moja wina?

- Nagrałeś mi życzenia przyjemnych snów. I te życzenia się spełniły. Szczerze mówiąc, sny były tak cudowne, że zasnęłam i opuszczałam dom w pośpiechu. A kiedy przypominałam sobie o automatycznej sekretarce, byłam już w sklepie.

Chase oparł Marcie plecami o szafkę i przycisnął do siebie.

- Przyjmuję te wyjaśnienia. - Pomalutku zaczął rozpinąć jej bluzkę. - Zobaczymy, może zdołasz mnie jakoś udobruchać. - Zachłannie przywarł wargami do jej ust.

Marcie poczuła spokój i błogie ciepło. Każde dotknięcie Chance'a budziło fale pożądania. Ale też i poczucie bezpieczeństwa. Tego właśnie pragnęła przez całe życie. Miłości.

Chance odpiął kolejny guziczek. Niemal nie odrywając ust od warg Marcie, wyszeptał:

- Widziałem straszny bałagan na podłodze w salonie. Czy to tym właśnie zamierzałaś zajmować się tej nocy? - Kolejny guziczek ustąpił. - Czy może raczej zajmiemy się czymś ciekawszym? Choćby tym. - Schylił się i pocałował jej dekolt. - Albo tym. - Przesunął koniuszkiem języka aż do krawędzi staniczka.

Marcie zacisnęła powieki. Uśmiechnęła się.

- Hm. Jesteś niezwykle przekonujący.

Jeszcze przez chwilę pozwoliła mu na te rozkoszne zabawy. Potem odepchnęła go delikatnie.

- Zanim jednak znajdziemy się w sytuacji bez wyjścia, muszę zrobić to, co zrobione być powinno. A skoro już tu jesteś, przypuszczam, że na pewno zechcesz się przyłączyć. W pewnym sensie ciebie także to dotyczy.

W jego oczach rozbłysły łobuzerskie ogniki. Uśmiechnął się szeroko.

- A co dostanę w zamian za niewątpliwie ogromną pomoc, której zamierzam ci udzielić?

- A co powiesz na uczucie satysfakcji z dobrze wykonanej pracy? - odparła Marcie z równie przebiegłym uśmiechem.

- Tylko tyle masz mi do zaoferowania?

- To moja ostateczna propozycja. - Przesłała mu całusa.

- Marcie Roper, jesteś doskonałą negocjatorką. Nie zostawiłaś mi wyboru. Muszę przyjąć twoje warunki.

Podał jej szklankę z mrożoną herbatą i pomaszerował za nią do salonu.

- A więc, co będziemy robić?

- Idą święta. - Zauważyła, że twarz Chance'a stężała. - Jak wiesz, w poniedziałek odbędzie się tutaj przyjęcie, w którym i ty zgodziłeś się wziąć udział. Zaprosiłam też, oprócz moich pracowników i klientów, Hanka Varneya i jego chłopców.

Odstawiła szklankę na stolik i zaczęła otwierać paczuszki.

- Kupiłam mnóstwo ozdóbek. Chciałabym udekorować dom jak nigdy dotąd. To musi być najwspanialszy bal bożonarodzeniowy.

Radość i zapał, bijące z jej twarzy i dźwięczące w jej głosie, rozbroiły Chance'a zupełnie. Sądził, że ponure przyjęcia w domu jego ojca na zawsze okryją cieniem wszystkie święta. Uwierzył nagle, że może być inaczej.

- No, dobrze. - Uśmiechnął się. - Skoro mamy dekorować, to dekorujmy! Co my tu mamy? - Sięgnął po kolejne pudełko.

Praca zajęła im trzy godziny. Ale kiedy zegar wybił północ i uświadomili sobie, jak już jest późno, dom był przygotowany na przyjęcie.

Marcie z satysfakcją rozejrzała się dookoła.

- Co ty na to? - spytała. - Dobrze wyszło?

- Uważam, że wspaniale.

Marcie aż kipiała z podniecenia. Rozpierała ją niezwykła radość. I Chance ani się obejrzał, jak i jemu udzielił się ten nastrój. Oczekiwanie na święta, ten czas pokoju, szczęścia i miłości.

- Jutro przywiozę choinkę i wieczorem zrobię resztę - powiedziała.

- Czy mam rozumieć, że jutro też będziesz potrzebowała mojej pomocy? - zapytał Chance i przytulił się do niej.

- Skoro praca jeszcze nie skończona... - Marcie wsunęła mu dłonie pod sweter. - Spodziewam się, że skończysz to, co zacząłeś.

Chance pogłaskał ją po ramionach, po plecach. Chwyił jej biodra i przycisnął je do swoich ud. Usta odszukały jej wargi.

- Nikomu nie pozwolę twierdzić, że nie kończę tego, co zacząłem!

Chwyił ją w ramiona i zaniósł do sypialni.

Przez cały dzień Marcie czuła radosne podniecenie. Czekало ją wspaniałe Boże Narodzenie. Starannie wybrała choinkę - piękną, dwumetrową jodłę.

- Glen, czy Don mógłby podrzucić ją do mnie do domu, gdy będzie rozwoził zamówienia? - spytała.

- Śliczne drzewko - powiedział Glen. - Czy to oznacza, że dałaś sobie wreszcie spokój z tą sztuczną choinką, którą ubierałaś dotychczas? - zapytał z uśmiechem.

- Coś mi się zdaje, że nie masz ochoty dostać w tym roku świątecznej premii - mruknęła Marcie i uśmiechnęła się także.

Glen natychmiast spoważniał i zasalutował.

- Tak jest, proszę pani! Drzewko zostanie dostarczone, kiedy tylko Don skończy przesadzać fikusy - zameldował i wyszedł na zaplecze z jodłą na ramieniu.

Dzień minął szybko. Lecz i tak Marcie nie mogła doczekać się spotkania z Chance'em. Tak bardzo chciała usłyszeć jego opinię o jej pomysłe ozdobienia świątecznego drzewka. Po powrocie do domu natychmiast zabrała się do pracy. Wydobyła z szafki olbrzymią miskę. Potem włożyła do kuchenki mikrofalowej porcję kukurydzy do prażenia. Już gotową przesypała do miski. Powtarzała czynność, aż miska została wypełniona po brzegi. Znalazła jeszcze jedno naczynie i ponownie włączyła kuchenkę. Wtedy rozległ się dzwonek u drzwi. To był Chance.

- Ach, więc takie drzewko wybrałaś - powiedział. - Bardzo kosztowne, ale nadzwyczaj urocze. Pewien jestem, że, ozdobione, będzie wyglądać wspaniale.

- Miałam nadzieję, że zdążę ze wszystkim, zanim przyjedziesz. Nie udało mi się. Musiałam po drodze zrobić zakupy. Zamierzałam wstąpić do sklepu w drodze do pracy, ale zabrakło mi czasu.

- Tak? Co się stało? - spytał niewinnym głosem. - Zaspałaś? - Wziął ją pod ramię i poprowadził do kuchni.

- Niezupełnie. Jeśli dobrze pamiętam, to raczej ty nie chciałeś wypuścić mnie z łóżka. Kiedy w końcu udało mi się wystawić cię za drzwi, zacząłeś się nagle bardzo spieszyć.

- Rano nie zgłaszałaś żadnych pretensji - szepnął.

- Dobrze wiesz, jak podstępnyimi stworzeniami są kobiety - mruknęła mu wprost do ucha. - Rano tak zawróciłeś mi w głowie, że nie zdawałam sobie sprawy, jak jest późno.

- Tylko zawróciłem ci w głowie? To nie jest dla mnie powód do dumy. Staralem się osiągnąć dużo więcej niż zwykły zawrót głowy.

- I udało ci się - szepnęła Marcie cichutko.

Trwali bez ruchu, w czułym uścisku. Nie odzywali się. Nagle Chance uniósł głowę.

- Czy to prażona kukurydza tak pachnie? - spytał.

- Tak. Kupiłam również piękne żurawiny. Zamierzam ozdobić choinkę łańcuchami z prażonej kukurydzy i żurawin.

- Ojoj! Czeka nas, zdaje się, niezła robota. Mam dziwne wrażenie, że będziemy musieli nanizać to wszystko na nici.

- Tak. Właśnie to nas czeka. Rozpal ogień na kominku. Ja włączę płytę z kołędami, dla nastroju, i bierzemy się do roboty.

Nawet nie przypuszczali, jak żmudne było to zajęcie i jak wiele miało zabrać im czasu. Bawili się przy tym znakomicie, śmiali i żartowali. I objadali się. W końcu Chance musiał pojechać do sklepu. Zabrakło im kukurydzy.

Była już prawie pierwsza w nocy, gdy skończyli wreszcie robić girlandy. Ale nawet nie zaczęli jeszcze ubierać choinki.

- Chociaż bardzo mi się to nie podoba - rzekł Chance i pogłaskał Marcie po policzku - muszę już jechać. Wczesnym rankiem mam spotkanie niedaleko mojego domu.

Marcie bez skutku próbowała stłumić ziewnięcie.

- Gdybym wiedziała, ile czasu nam to zajmie, nigdy nie zdecydowałabym się na kukurydziane girlandy.

Ujęła rękę Chance'a i odprowadziła go do drzwi.

- Cieszę się, że mogłem ci pomóc - powiedział Chance i przytulił ją. - Nie zamieniłbym tych chwil na nic innego. - Pocałował ją. - Dziękuję. Po raz pierwszy od wielu lat czuję, że zbliża się Boże Narodzenie.

Marcie spoglądała za odjeżdżającym samochodem z sercem pełnym radości i satysfakcji. I ona myślała o nadchodzących świętach.

Zamknęła drzwi, pogasiła światła i poszła do sypialni. Miała za sobą bardzo męczący dzień i była wykończona.

Chance obejrzał się za siebie. Zobaczył oświetlone okno sypialni Marcie.

Cudowny nastrój wieczoru psuła mu przez cały czas jedna myśl. Ani na moment nie mógł zapomnieć o spotkaniu, które czekało go następnego ranka. O wizycie u ojca. Na jego prośbę. Co już samo w sobie było bardzo dziwne. Douglas Fowler nigdy nikogo o nic nie prosił. On tylko wydawał polecenia. Chance nie miał pojęcia, o co ojcu chodzi. Ale Anne Metcalfe bardzo usilnie nalegała, by znalazł trochę czasu. To także było dziwne. Douglas nigdy nie liczył się z niczyimi planami. Po prostu wzywał tych, z którymi chciał porozmawiać. Tym razem Chance został poproszony o spotkanie. I to przerażało go najbardziej.



## *ROZDZIAŁ DZIESIĄTY*

- Miło cię widzieć, Chance. - Douglas Fowler wskazał synowi krzesło. Sam usiadł na swoim miejscu za olbrzymim mahoniowym biurkiem. - Bardzo się cieszę, że zechcieliście odwiedzić nas w niedzielę. Ty i twoja przyjaciółka.

Chance poczuł, jak żołądek zamienia mu się w twardą kulę. O to więc chodziło! Ojciec zainteresował się jego związkiem z Marcie. A to nie wróżyło niczego dobrego.

- Zechciej może pominąć te zbędne uprzejmości i przejdź od razu do rzeczy. Mam dziś jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia i zaraz muszę jechać.

- Bardzo dobrze. - Douglas Fowler otworzył leżący przed nim skoroszyt. - Mam tu raport na temat twojej przyjaciółeczki, Marcie Roper. Pochodzi ze średnio zamożnej rodziny. Przodków ma zupełnie nieciekawych. Nie znalazł się tam nikt godzien uwagi. Zdobyła, co prawda, jakieś wykształcenie w podrzędnej, niestety, szkole średniej. Z tego opisu jasno wynika, że to łowczyni bogatych mężów.

- Łowczyni bogatych mężów?! - Wściekłość poderwała Chance'a na równe nogi. - Tylko to cię obchodzi? - Złość aż w nim kipiała.

Zacisnął pięści i szczęki. Za nic nie chciał stracić panowania nad sobą. Nie mógł dać ojcu tej satysfakcji. Głęboko nabrał powietrza i wolno je wypuścił.

Kiedy odezwał się, mówił spokojnie i dobitnie. Żeby to, co mówi, zostało dokładnie zrozumiane.

- Nikt, nawet ktoś o najbardziej nawet chorej wyobraźni, nie mógłby wymyślić, że Marcie Roper jest łowczynią bogatych mężów. - W głosie zaczęły wibrować mu nuty wściekłości, lecz nawet nie próbował ich ukrywać. - Jest niezależną, samodzielną kobietą. Ma własną firmę i ciężko pracuje na swoje utrzymanie. Jestem głęboko urażony i dotknięty tym, że kazałeś ją śledzić.

Chance wsparł się o biurko. Wbił gniewne spojrzenie w twarz Fowlera seniora.

- Kimkolwiek ona jest i cokolwiek nas łączy, nic ci do tego.

Douglas Fowler pomału obciął i zapalił cygaro. Dał sobie w ten sposób czas do namysłu. Ale Chance znał tę taktykę i ani myślał ją akceptować.

- Zostaw te sztuczki dla innych. Na mnie one nie działają. Przejdź może od razu do prawdziwego powodu tego spotkania. Swoją drogą, powinieneś był przysłać mi e-mail. Oszczędziłbyś nerwów sobie i mnie. - Chance odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

- Nie wychodź, kiedy do ciebie mówię! - zagrział Douglas Fowler. - Wracaj tu albo...

Chance zatrzymał się raptownie.

- Albo co zrobisz? Odeślesz mnie do łóżka bez kolacji? Odbierzesz kieszonkowe? Nie jestem już dzieckiem. Czuję się urażony takim traktowaniem. Może powinienem przypomnieć ci, że od dawna nie dajesz mi kieszonkowego.

- Uspokój się, Chance. Chodzi mi tylko o twoje dobro. Pewnego dnia cały mój majątek będzie twój. Próbuję jedynie chronić twoje dziedzictwo.

- Phi! A skoro już o dziedzictwie mowa... To naprawdę wzruszające, szkoda tylko, że nieprawdziwe. Niezależnie od tego, co wypisują w gazetach, nie jestem zepsutym ladaco, siedzącym na garnuszku u ojca. Radzę sobie całkiem nieźle bez twojego finansowego wsparcia.

- To prawda. Twoja matka i jej ojciec już się o to postarali.

- No cóż, dziękuję za szczerłość! Owszem, dostałem pewien kapitał na dwudzieste pierwsze urodziny. Ale to ja pomnożyłem go do niebagatelnych rozmiarów. Sam, bez twojej pomocy. I to ja finansuję szkoły budowlane, nie ty.

Douglas Fowler opadł na fotel. Jak zwykle, nie stracił pewności siebie.

- Wygląda na to, że każda nasza rozmowa musi skończyć się sprzeczką. Byłoby miło, gdyby choć raz było inaczej.

- Rozmowa powinna być wymianą myśli i argumentów. Ty nie potrafisz rozmawiać. Ty przemawiasz. Wydajesz polecenia i żadasz, by każdy skakał, jak mu zagrasz. W odróżnieniu od twoich pracowników i, prawdopodobnie, większości twoich klientów, ja nie boję się potęgi twoich pieniędzy. Ten uroczy rodzinny obiadek w ostatnią niedzielę był zarazem ostatnią moją wizytą w twoim domu. A jeśli chodzi o Marcie Roper... - Chance nie zdołał utrzymać nerwów na wodzy. - Zostaw ją w spokoju! - warknął.

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł z gabinetu. Zdażył jednak, nie bez satysfakcji, zauważyć zdumienie i zaskoczenie malujące się na twarzy ojca.

Gdy tylko drzwi zatrzasnęły się za Chance'em, Douglas Fowler gniewnie wcisnął guzik interkomu.

- Połącz mnie z George'em Dunlopem - rozkazał. Anne Metcalfe natychmiast wykonała polecenie szefa.

- George, chciałbym, żebyś sporządził dla mnie pewien dokument. Do wtorku muszę zobaczyć jego projekt.

Douglas Fowler szczegółowo wyłuszczył swoje żądania i pożegnał się ze swoim prawnikiem. Rozparł się wygodnie w olbrzymim, skórzanym fotelu i zapalił cygaro.

Chance prawie biegiem opuścił dom ojca. Gniew wciąż jeszcze ścisnął mu wnętrzności. Oto ziściły się obawy kilku minionych dni. Nie powinien był zabierać Marcie na ten przekłety obiad. Jak mógł pozwolić, by ojciec dowiedział się o jej istnieniu! Pomału próbował się uspokoić i zwrócić myśli ku przyjemniejszym sprawom. Przypomniawszy sobie ostatni wieczór pełen prażonej kukurydzy i dźwięków kołęd. Oczyma wyobraźni zobaczył Wigilię spędzoną u boku pięknej kobiety, która była dla niego najważniejsza na świecie.

Męczący dzień minął obojgu niepostrzeżenie. Był już późny wieczór, gdy Chance dotarł do domu Marcie. Właśnie stał na drabinie, wieszając ostatni łańcuch.

- Jak to wygląda? - spytał.

Marcie zmarszczyła nos. Z uwagą studiowała wygląd choinki. Chance poprawił to i owo.

- Teraz lepiej? - spytał.

- Chyba przedtem było lepiej - odparła po chwili. Chance zmienił, co kazała, i zszedł z drabiny.

- I jak? Co o tym myślisz? - spytał jeszcze raz. Marcie uśmiechnęła się promiennie.

- Wygląda wspaniale. To najpiękniejsza choinka, jaką kiedykolwiek widziałam. A co ty sądzisz?

- Uważam, że ty jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką ja kiedykolwiek widziałem. - Pocałował ją w czubek nosa. - A jeśli chodzi o choinkę, myślę, że masz rację. Nieźle nam to wyszło.

Marcie podeszła do drzwi wejściowych, by stamtąd ocenić efekty pracy ostatnich dni. Kiedy odezwała się, mówiła bardziej do siebie niż do Chance'a:

- Ten dom wygląda teraz uroczo. Jest taki ciepły, przytulny i przyjazny. Taki, o jakim zawsze marzyłam.

Chance objął ją ramieniem i przytulił.

- Jest taki, w jakim każdy chciałby spędzić Boże Narodzenie.

- Naprawdę tak myślisz? - Marcie spojrzała na niego błyszczącymi oczami. - To będą naprawdę wyjątkowe święta. Chciałabym, żeby wszystko było doskonałe.

- Jeśli chodzi o wystrój wnętrza, to trzeba przyznać, że do poniedziałkowego balu jesteś już przygotowana. Ale co z wiktem i trunkami?

- Całą niedzielę zamierzam poświęcić na gotowanie. Na poniedziałek zostaną już tylko drobiazgi. A trunki?

Będzie poncz, napoje gazowane, kawa, herbata, piwo i wino. Powinno wystarczyć.

- Jak dla mnie, to aż nadto. Coś ci powiem. Ja kupię napoje. Piwo i wino.

Marcie odepchnęła go, zniecierpliwiona.

- Jesteś gościem, więcej nawet, jesteś moim klientem. A ja nie zapraszam gości z własnymi napojami.

- Sądziłem, że jestem dla ciebie kimś więcej niż zwykłym klientem. - Chance uśmiechnął się i pocałował ją. - Chyba że w ten sposób traktujesz wszystkich klientów?

Marcie roześmiała się i dała mu klapsa.

- To chyba jednak nie twój interes - odparła. A prawda była taka, że nigdy nikogo nie traktowała tak jak Chance'a Fowlera. Tak serdecznie. Czy może raczej, tak bezwstydnie.

Zrobili jeszcze kilka poprawek i Marcie uznała, że skończyli dekorowanie domu. Była bardzo zadowolona z efektu. Spojrzała na zegarek.

- I znów zrobiło się późno - powiedziała. - Nie zamierzam pojawić się w pracy ani w sobotę, ani w niedzielę. Chyba że mnie wezwą. A to oznacza, że jutro czeka mnie wyjątkowo męczący dzień.

- Ja też mam jutro dużo do zrobienia. Z samego rana lecę do San Francisco, żeby rozejrzeć się za nowym domem. Przenocuję tam i powinienem wrócić w sobotę po południu. Chciałem prosić, byś wybrała się ze mną, ale wygląda na to, że nie będziesz miała czasu. - Z nadzieją zawiesił głos. - A może jednak? Potem pomogę ci w przygotowaniach do przyjęcia.

- Nie. Chciałabym ci towarzyszyć, ale nie tym razem.

- Będę tęsknił za tobą.

- I ja będę tęskniła. - Marcie uśmiechnęła się smutno. Chance ujął jej twarz w dłoń i wyszeptał:

- Ja naprawdę będę za tobą tęsknił.

- Dom wygląda fantastycznie. Wspaniale go udekorowałaś - trąkotała Sandy. - To chyba najlepszy bal firmowy, jaki mieliśmy. - Nalała sobie ponczu i poszła szukać kolejnego rozmówcy.

Marcie stała w progu kuchennych drzwi i przyglądała się wszystkiemu z uwagą. Przez cały dzień była kłębkim nerwów. Było to bez wątpienia

najbardziej wystawne przyjęcie w historii jej firmy. Bardziej nawet, niż planowała.

Już wcześniej zauważyła, że Eric Ross przedstawił Glenowi Boba. I teraz stali obaj w kącie, zatopieni w poważnej rozmowie. Miała nadzieję, że już wkrótce Glen będzie miał nowego pomocnika.

- Wyglądasz na strasznie przejętą. Czy wszystko jest w porządku? - usłyszała znienacka głos Chance'a.

- A już miałam nadzieję, że uda mi się ukryć zdenerwowanie. Tak bardzo je widać?

- Jestem pewien, że nikt tego nie zauważył. Uśmiechnij się. Inaczej goście pomyślą, że źle się bawisz.

Marcie z przymusem przywołała na twarz szeroki uśmiech.

- Spróbuję. Zawsze się denerwuję, kiedy coś takiego dzieje się w moim domu. Nie mam zbyt wiele doświadczenia i wciąż się boję, że zrobię coś głupiego. - Po raz pierwszy w życiu przyznała się komuś do własnej nieśmiałości.

Chance przesłał jej pełen otuchy uśmiech i uściśnął dłoń.

- Dom wygląda wspaniale, jedzenie wszystkim smakuje, goście bawią się wyśmienicie. Nie ma żadnych powodów do obaw. Uspokój się i zrób weselszą minę.

- Chyba masz rację. - Marcie rozejrzała się wokół.

- Zatańczmy! - Chance pociągnął ją za rękę. - Jestem pewien, że jeśli damy dobry przykład, inni pójdą w nasze ślady.

Wyszli na przystrojone kolorowymi lampionami patio. Noc była wyjątkowo ciepła. Chance objął Marcie i poprowadził ją w rytm muzyki. Po kilku chwilach dołączyły do nich następne pary.

Potem Marcie wręczyła pracownikom upominki i wszyscy odśpiewali kolędy. Choć następnego dnia trzeba było pójść do pracy, nikt nie kwapił się do wyjścia. Dopiero koło północy dom opustoszał.

- Och! Cieszę się, że już jest po wszystkim. - Marcie westchnęła ciężko. Zamknęła oczy i oparła się o frontowe drzwi. - Jestem potwornie zmęczona. Ale chyba goście dobrze się bawili.

- To było wspaniałe przyjęcie, to nie tylko moje zdanie. - Chance przyniósł z kuchni worek na śmieci i zaczął sprzątać ze stołów.

Marcie patrzyła, jak zgarnia papierowe talerze, serwetki i plastikowe widelce. I poczuła nagle lęk. W domu Douglasa Fowlera nigdy nie używano takiej zastawy. Czy aby Chance nie czuł zażenowania, że musi uczestniczyć w takim byle jakim przyjęciu? Czy nie przyniosła mu wstydu przed rodziną?

Tak bardzo była zakochana, że w ogóle zapomniała o dzielącej ich różnicy klas. Czyżby był to jej podstawowy błąd?

- Naprawdę tak uważasz? Czy mówisz tak tylko z grzeczności? To było największe przyjęcie, jakie kiedykolwiek przygotowałam. Przez cały czas umierałam ze zdenerwowania.

Chance podszedł i przytulił ją mocno.

- Wiesz co? Gdybym cię nie znał, uwierzyłbym, że nigdy przedtem nie przyjmowałaś gości. Wszystko świetnie zorganizowałaś.

- No. Raptem trochę kanapek i napoje - bąknęła niezdecydowanie.

- Mniejsza z tym. Zapewniam cię, że wszyscy bawili się fantastycznie. - Chance nagle zamilkł. Zastygł bez ruchu. Rozważał coś przez moment.

- Marcie. - Głos zadrżał mu lekko. Sam nie do końca wiedział, co chce powiedzieć.

- Tak?

- Czy... poszłabyś ze mną w tę sobotę na tańce do jachtklubu?

- Do jachtklubu? - powtórzyła Marcie. Stanęły jej przed oczami wytworne suknie, które oglądała na wystawie wtedy, kiedy Chance Fowler wtargnął w jej życie. - Czy to będzie uroczysty bal, czy zwykła potańcówka?

- Doroczny bal świąteczny. Prawdę mówiąc, nie byłem dotąd na żadnym. Nie mam pojęcia, czy obowiązują smokingi, czy tylko garnitury.

- Obawiam się, że nie mam stosownego stroju na taką okazję -  
powiedziała Marcie.

Jednak miała rację. Pochodzili z zupełnie innych światów i nic nie  
zmniejszy dzielących ich różnic!

- Strój nie ma tu nic do rzeczy. Ważne, czy masz ochotę tam pójść.

- Nie wiem. Jeśli mam być szczerą, nigdy jeszcze nie byłam w  
jachtklubie. - Spuściła oczy. - Obawiam się, że nie będę tam się dobrze czuła.

Chance ujął ją pod brodę i uniósł jej głowę do góry.

- Nie ma takiego miejsca, w którym powinnaś czuć się skrepowana. -  
Przytulił ją i pocałował. Mocno. Z miłością.

Marcie stała w swoim biurze i gapiała się na ścienny kalendarz. To już w tę  
sobotę, pomyślała. Bal w jachtklubie! Wciąż nie mogła zrozumieć, jak mogła  
zgodzić się tam pojechać. To na pewno skutek odbierających oddech  
pocałunków Chance'a. Ale stało się.

Zajrzała do terminarza. Następnego dnia powinna znaleźć trochę czasu i  
pojechać do San Diego, żeby kupić stosowną suknię. No i, oczywiście, buty oraz  
inne dodatki. Będzie musiała wydać sporo pieniędzy na coś, co prawdopodobnie  
włoży tylko na tę jedną okazję. To zupełnie jak z suknią ślubną, pomyślała.  
Dużo kosztuje, a wkłada się ją tylko raz.

Przez resztę dnia pracowała bez chwili wytchnienia. Wieczorem pojechała  
z Chance'em do kina. Spotykali się już praktycznie każdego dnia. Kiedy tylko  
było to możliwe, spędzali wspólnie noce. W ciągu tygodnia u niej. W weekendy,  
kiedy następnego ranka nie musiała jechać do pracy, u niego.

Kiedy byli razem, wszystkie troski znikwały. Gdy Marcie zostawała sama,  
opadały ją wątpliwości. Dobrze znała poglądy Chance'a na małżeństwo i życie  
rodzinne. Nigdy ich nie ukrywał. Ona też przystała na ich związek, mając pełną  
świadomość wszystkich konsekwencji. Z czasem jednak przybywało  
wątpliwości i obaw o przyszłość.



Następnego dnia Marcie pojechała na zakupy. Przymierzyła ze dwa tuziny sukienek. W końcu jedną wybrała. Czerwoną. Bardzo podobną do tamtej, którą podziwiała na wystawie owego feralnego dnia. Jeszcze tylko buty, dodatki, i popędziła z powrotem do Crestview Bay.

Dni mijały błyskawicznie. Zanim się Marcie spostrzegła, nadeszła sobota. Już wcześniej zaproponowała Chance'owi, że przyjedzie do niego do San Diego. Lecz on uparł się, że wpadnie po nią do Crestview Bay.

Spojrzała na zegar. Kwadrans po piątej! Chance zapowiedział się na pół do szóstej. Ale Marcie była już prawie gotowa. Spryskała się perfumami, przypięła klipsy i wsunęła stopy w pantofelki. Dzwonek u drzwi oderwał ją do lustra.

- Wyglądasz wspaniale! - Chance wszedł do salonu i ujął ją za rękę. - Prawdę mówiąc, wyglądasz zbyt cudownie, by pokazywać cię w jachtklubie. Może dalibyśmy sobie spokój z balem i spędzili noc u ciebie?

- Jeżeli sądzisz, że przymierzyłam wszystkie sukienki w San Diego i szykowałam się tutaj całe popołudnie tylko po to, żeby zostać w domu, to jesteś w dużym błędzie. - Wręczyła mu swoją pelerynkę.

- Widzę więc, że ruszamy na bal. - Chance podał jej okrycie. - Powóz zajechał.

Przez całą drogę z Crestview Bay do San Diego Marcie walczyła z tremą. Bez powodzenia. Kiedy wjeżdżali na klubowy parking, bała się okropnie. Dopiero gdy Chance otworzył drzwiczki, gdy poczuła ciepło jego dłoni, uspokoiła się.

Przed wejściem do budynku jachtklubu natychmiast opadli ich fotoreporterzy. Błyskały flesze.

Chance zacisnął zęby i zmełł w ustach przekleństwo. Starając się zasłonić swoją towarzyszkę przed wścibskimi obiektywami, szybko wprowadził ją do środka.

- Przepraszam za to wszystko, Marcie. Nigdy ich tutaj nie było. Mam nadzieję, że nie rozzłościł cię zbyt wiele?

- Trochę mnie to zdeprymowało, ale nic się nie stało. - Było to dla niej zupełnie nowe przeżycie. Nigdy jeszcze nie znajdowała się pod ostrzałem kamer. I stało się to właśnie wtedy, gdy po raz pierwszy publicznie pokazali się razem. Bo nie można tak nazwać wizyt w zacisznych restauracjach czy małych kinach. To był jednak bal w jachtklubie. Znaleźli się w świecie Chance'a.

Kiedy weszli do jadalni, natychmiast wskazano im stolik. Zaciekawiona Marcie rozglądała się po sali wystawnie udekorowanej i pełnej eleganckich ludzi. Chance w smokingu prezentował się po prostu wspaniale. Popatrzyła po sobie i pochwaliła swój wybór. Była zadowolona, że zdecydowała się kupić tę właśnie sukienkę.

Chance zamówił szampana. Potem wybrali potrawy. Przy jedzeniu wciąż patrzyli sobie w oczy. Potem tańczyli. Do pierwszej po północy. Przy wyjściu ponownie wpadli w tłum fotoreporterów.

W drodze do domu Chance ścisnął jej dłoń.

- Nie było tak okropnie, prawda? - spytał.

- Nie, nie było - przyznała po chwili Marcie. - Szczerze mówiąc, nawet mimo obecności fotoreporterów było wspaniale. Jest jednak coś, co mnie denerwuje.

- Co takiego? - przeraził się Chance.

- Boją mnie stopy. Wybuchnął głośnym śmiechem.

- Kiedy tylko dojedziemy do domu, wymasuję ci je. Co ty na to?

Marcie położyła mu głowę na ramieniu i zamknęła oczy.

- Trzymam cię za słowo - odparła, z trudem tłumiąc ziewnięcie.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Poniedziałek w sklepie był straszny. Ręce omdlewały wszystkim od nawału pracy. W najbliższy czwartek wypadała wigilia, więc tłumy kupujących kłębiły się w sklepie przez cały dzień. Kilka minut po trzeciej wszedł do środka sztywnie ubrany mężczyzna. Dobiegał chyba sześćdziesiątki.

- Panna Roper? - spytał.

- Tak, jestem Marcie Roper.

- Nazywam się George Dunlop - rzekł i podał jej wizytówkę.

- Czym mogę panu służyć, panie Dunlop?

- Jestem prawnikiem rodziny Fowlerów. Reprezentuję interesy Chance'a Fowlera. Mam tutaj pewien dokument - sięgnął do neseseru - który kazano mi pani doręczyć.

Zmieszana Marcie zmarszczyła brwi. Z niepokojem sięgnęła po podaną jej kartonową teczkę. Adwokat Chance'a miał do niej sprawę? Dlaczego Chance nie przyjechał osobiście? Wspominał coś w ubiegłym tygodniu o spotkaniu z adwokatem i maklerem giełdowym. Czyżby miało to z tym jakiś związek?

- Jak pani widzi, wspomniany dokument sporządzony został w trzech egzemplarzach. Gdyby zechciała pani podpisać wszystkie trzy dokumenty we wskazanych miejscach, odeślę pani jeden, gdy tylko nabiorą mocy prawnej.

Marcie powoli czytała dokument. Przebiegła wzrokiem po tekście. Nic nie zrozumiała. Zaczęła czytać raz jeszcze, powoli, strona po stronie, słowo po słowie. Aż w końcu w pełni dotarło do niej, co właśnie przeczytała.

- Ależ to jest intercyza! Wynika z niej, że zrzekam się wszelkich roszczeń do majątku Chance'a, a także majątku rodziny Fowlerów w ogóle. Łącznie z „Fowler Industries”. - Gniew dodawał twardości każdemu jej słowu.

- Tak jest, panno Roper. Gdyby zechciała pani podpisać tutaj - Dunlop wskazał miejsce w tekście - oraz tutaj.

Marcie nie mogła wprost uwierzyć w to, co się stało. Gapiała się na prawnika, który stał nad nią, jakby sądził, że ona od ręki podpisze podsunięty dokument. Sama nie wiedziała, co wstrząsnęło nią bardziej - złość czy ból? Z niezwykłym wysiłkiem zachowała spokój. Powoli odsunęła teczkę w stronę adwokata. Jeden egzemplarz umowy trzymała w zaciśniętej dłoni.

- Nie mam najmniejszego zamiaru tego podpisać - wydusiła przez zaciśnięte zęby. - Może pan przekazać Chance'owi Fowlerowi, że uważam jego postawę za oburzającą. A ponieważ kwestia ewentualnego małżeństwa nigdy nie była przez nas dyskutowana, czuję się bardzo dotknięta.

Widząc, że prawnik nie kwapi się do wyjścia, dodała:

- Żegnam pana, panie Dunlop.

Przyglądała się z kamienną twarzą, jak adwokat pomału chowa kartonową teczkę do neseseru.

- Skontaktuję się z panią, panno Roper.

Marcie stała bez ruchu jak posąg. Lecz wewnątrz niej wszystko kipiało. Wściekłość i przeraźliwy ból niemal odbierały jej świadomość.

Nie mogła pojąć, że Chance Fowler zdolny był do takiego chamstwa. Musiał chyba uwierzyć, że ona za wszelką cenę dąży do małżeństwa, i poczuł się zmuszony do obrony swoich ukochanych pieniędzy. Złość nie ustępowała. Przeciwnie, utwierdzała ją w postanowieniu udowodnienia temu pyszałkowi, że nie cały świat tańczy tak, jak on zagra.

Z wolna jednak ból brał górę nad złością. Marcie nie miała pojęcia, co powinna uczynić. Może łatwiej byłoby jej podjąć jakąś decyzję, gdyby Chance porozmawiał z nią wcześniej o planach na przyszłość. Jednak do takiej rozmowy nigdy nie doszło.

Ponowna fala gniewu pchnęła ją do czynu. Sięgnęła po telefon i wybrała numer Chance'a. Zgłosił się automat, więc rozłączyła się. Nie miało sensu wyładowywanie wściekłości na martwym urządzeniu.

- Jestem spokojna! Jestem spokojna - powtarzała.

Nic nie pomogło. W jej duszy wciąż szalał huragan. Rozpaczliwie musiała zebrać myśli, uporządkować uczucia i emocje. Oddzielić złość od bólu, wstyd od rozpacz. I spojrzeć na wszystko chłodnym okiem.

Popatrzyła na trzymany dokument. Nie mogła uwierzyć, że człowiek, którego kochała, mógł być tak zimny i wyrachowany. Jednak jakiś głos na dnie duszy szeptał, że przecież powinna najpierw wysłuchać jego wyjaśnień.

- Glen! - zawołała. - Muszę już pojechać do domu. Pozamykasz tu wszystko wieczorem?

- Oczywiście, Marcie. - Glen przyglądał się jej niepewnie. - Stało się coś? Mogę ci w czymś pomóc?

- Nie. Nic się nie stało.

- Na pewno?

- Na pewno. - Marcie zmusiła się do uśmiechu.

- W porządku. Do zobaczenia jutro.

Wepchnęła napawający ją wstrętem dokument do torebki i wybiegła. Pojechała prosto do domu, z trudem powstrzymując cisnące się do oczu łzy.

- Jazda stąd! Zabieraj się z szosy, stary rupieciu! - Każda komórka, każdy nerw Chance'a drżał ze zdenerwowania. Czy wszyscy najgorsi kierowcy w całym stanie musieli pętać się akurat po tej drodze?!

Umierał z niepokoju. Wystarczyłby sam fakt, że Marcie tak niespodziewanie wyszła z pracy. Do tego jeszcze Glen powiedział, że wyglądała na smutną i że stało się coś złego. Ponadto nie odebrała telefonu, choć Glen powiedział, że pojechała do domu. Nie pozostało mu nic innego, jak wskoczyć do auta i pognać do Crestview Bay.

Zahamował z piskiem opon, biegiem pokonał schody i załomotał w drzwi.

- Marcie, otwórz! Jesteś tam? Marcie?!

Gwałtowne pukanie do drzwi wyrwało Marcie z bolesnej zadumy. Skulona w fotelu, próbowała zrozumieć, kiedy popełniła błąd. Zawsze liczyła

się z tym, że różnice pochodzenia mogą zniweczyć kiedyś ich związek. Nie sądziła jednak, że stanie się to w taki sposób!

Przecież pomysł sporządzenia intercyzy i wysłania do niej adwokata nie mógł przyjść mu do głowy znienacka. Chance musiał myśleć o tym już od dawna, rozważać wszystko dokładnie.

I oto usłyszała głos tego drania. Musiał dowiedzieć się od adwokata, że odmówiła podpisania umowy, i postanowił rozmówić się z nią osobiście. To nawet lepiej, pomyślała. Byle mieć to już za sobą. Westchnęła ciężko i wstała.

Kiedy tylko otworzyła drzwi, Chance wpadł do środka jak burza i chwycił ją w objęcia. Szczery i nie skrywany niepokój w jego głosie zmieszał ją.

- Dobrze się czujesz? Co się stało? - rzucił. Wyrwała mu się i cofnęła kilka kroków.

- Czuję się dobrze w tej sytuacji - wykrztusiła. Ze wszystkich sił starała się zapanować nad sobą.

- Nie rozumiem. - Chance zmarszczył brwi. - Co to znaczy „w tej sytuacji”? Co się stało?

Marcie ogarnęła wściekłość. Jak w ogóle śmiał zadawać tak idiotyczne pytania?

- Dobrze wiesz - odparła.

- Nie rób mi tego, Marcie. - Obłok gniewu przesłonił mu twarz. - Nie traktuj mnie w ten sposób. „Jeśli nie wiesz, to trudno”. Chyba należy mi się odrobina szacunku. Przecież to chyba jasne, że gdybym wiedział, co się stało, nie wypytywałbym cię teraz. Zadzwoń mi do pracy i Glen powiedział mi, że pojechałaś do domu. I że wyglądałaś na bardzo zmartwioną. Wtedy zadzwoniłem do domu, ale ty nie odebrałaś telefonu, więc przyjechałem.

Przyjrzał się jej badawczo.

- Raczej nie jesteś chora. O co więc chodzi? Co się dzieje? - spytał.

A więc tak postanowił to rozegrać. Zamierzał udawać, że nie wie o niczym. Skoro tak...

- Świetnie udajesz. - Sięgnęła do torebki po dokument. - Proszę. -  
Wcisnęła mu go do ręki. - Twój adwokat przywiózł mi to kilka godzin temu.  
Żądał, żebym to podpisała. Chcesz wmówić mi, że o niczym nie wiedziałeś?

- Mój adwokat? - Oszołomiony Chance spoglądał na trzymane papiery.

- Nie mogę uwierzyć, że pomyliłam się co do ciebie aż tak bardzo -  
szepnęła i załkała cicho. - Naprawdę sądzisz, że wszystkie kobiety na świecie  
usychają z tęsknoty za jednym choćby twoim spojrzeniem?

Odwróciła się do okna. Nie chciała, by Chance oglądał cisnące się jej do  
oczu łzy.

- Dobrze znam twoje poglądy na temat rodziny i małżeństwa. Wyraziłeś  
je jasno i dobitnie. Uważałam jednak, że łączy nas coś specjalnego. Pogodziłam  
się z faktem, że nie chcesz rozmawiać o przyszłości. Myślałam, że będę  
potrafiła z tym żyć.

Wzięła głęboki oddech. Wciąż zwrócona twarzą do okna, ciągnęła:

- Ale jednego nie mogę zrozumieć. Skoro nigdy, nawet przez moment nie  
rozważaliśmy naszej wspólnej przyszłości, dlaczego uznałeś za konieczne  
podsunięcie mi do podpisania intercyzy? Przecież ani razu, nawet jednym słów-  
kiem, nie wspomniałeś o małżeństwie!

Zapadła cisza. Nie mogąc doczekać się odpowiedzi, Marcie odwróciła się.  
To, co ujrzała, zaskoczyło ją. Z poszarzałą twarzą, Chance czytał umowę w  
takim napięciu, że chyba w ogóle nie słyszał, co mówiła. W końcu uniósł głowę.

- To jest przecież umowa przedślubna. Skąd ją masz? - spytał.

- Nie słuchałeś, co do ciebie mówiłam?! - krzyknęła Marcie z irytacją. -  
Twój adwokat przywiózł mi ją dziś po południu i zażądał, bym ją podpisała.

- Mój adwokat? Kevin Prichard kazał ci to podpisać? Skąd on to  
wytrzasnął?

- Kevin Prichard? Kto to jest Kevin Prichard?! - Teraz Marcie wyglądała  
na kompletnie zagubioną.

- Kevin Prichard jest moim adwokatem. I zupełnie nie rozumiem, dlaczego do ciebie pojechał. A jeśli chodzi o to - dodał i uniósł wysoko dokument - zupełnie nie mam pojęcia, co to jest.

- Nie, nie tak nazywał się człowiek, który mi to przywiózł. Tamten nazywał się George Dun...

- George Dunlop? - Wściekłość ściągnęła twarz Chance'a, wykrzywiając rysy. - To jest adwokat mojego ojca. Więc to sprawka tatuśka - wyszeptał chrapliwie.

- Twojego ojca? - Marcie podeszła do niego. - Nie rozumiem. Dlaczego twój ojciec to zrobił? Przecież to nie ma najmniejszego sensu. Ty i ja nigdy nie rozmawialiśmy o przyszłości. O wspólnej przyszłości.

Jej głos drżał. Zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć, co myśleć. Czują, że najprawdopodobniej widzi Chance'a po raz ostatni. Wiedziała, że zrobiła dość, by go zranić.

Czytała z wyrazu jego twarzy wszystkie targające nim uczucia. Z wolna opuszczały ją wszelkie myśli i emocje. Bała się. Co będzie dalej?!

Na odpowiedź nie musiała długo czekać.

Chance porwał ją w ramiona. Objął mocno jej drżące ciało. Głaskał jej włosy. Musiał przekonać Marcie, udowodnić, że nie miał z tym nic wspólnego.

- Przepraszam, Marcie - wyszeptał. - Uwierz, proszę, że nic o tym nie wiedziałem. Nie mógłbym zrobić ci czegoś takiego. Tylko mój ojciec jest do tego zdolny. A wszystko dlatego, że zabrałem cię na obiad do jego rezydencji. Postąpił zgodnie ze swoją naczelną życiową zasadą: przede wszystkim chroń swój majątek. A że żenił się już sześć razy, ma na pewno wielkie doświadczenie w przygotowywaniu umów przedmażeńskich.

Marcie wyczytała w jego oczach, że mówi prawdę. Zmieszła się.

- Ale czemu w ogóle przypuszczał, że my...

- Że zamierzamy się pobrać?

- Tak. Że zamierzamy się pobrać. - Zawstydzona, spuściła oczy.



Po raz pierwszy myśl o małżeństwie nie napawała Chance'a przerażeniem, chociaż do tej pory tak starannie jej unikał. Milczał, szukając właściwych słów.

- Kto wie? - Udawaną obojętnością próbował zamaskować budzącą się obawę. - Może chociaż raz staruszek miał rację? Może rzeczywiście powinniśmy się pobrać? - Zakasłał nerwowo. - Co o tym sądzisz?

Wiadro lodowatej głowy wylane na głowę Marcie nie dałoby zapewne takiego efektu jak te słowa.

Wróciła do rzeczywistości szybciej, niż myślała. Wyrwała się z objęć Chance'a. Po jej policzku spłynęła samotna łza.

- Myślę, że to jest najobrzydliwsza, najbardziej bezduszna propozycja, jaką kiedykolwiek usłyszałam.

Chance zastygł, zdumiony.

- Słucham? - wybąkał po chwili.

- Powiedziałeś to tak, jakbyś rozważał, do którego kina pójdziemy. A jeżeli tak traktujesz nasz związek, to ja nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. - Były to najtrudniejsze słowa, jakie kiedykolwiek przyszło jej wypowiedzieć. Ale nie miała wyboru.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, podeszła do drzwi.

- Nie sądzę, by coś jeszcze zostało do powiedzenia. Myślę, że powinieneś już pójść.

Chance wyciągnął ku niej rękę, lecz Marcie odsunęła się.

- Proszę, nie utrudniaj tego jeszcze bardziej.

- Dlaczego to robisz, Marcie? Nie pozwól, by mój ojciec wbił klin między nas.

- Tu nie chodzi o twojego ojca. Wszystko było takie cudowne, byłam tak szczęśliwa, że już prawie przekonałam samą siebie, że potrafię żyć z tobą bez żadnych zobowiązań. Niestety, łudziłam się. Ty najwidoczniej nie traktowałeś naszego związku zbyt poważnie. Ja tak nie potrafię.

Oczy zaszyły jej łzami. Z jej piersi wydobył się głuchy szloch.

- Nie mogę też oczekiwać, że ochoczo zgodzisz się dzielić ze mną moje życie. Nigdy nie byłbyś szczęśliwy w domu, który sobie wymarzyłam, który jest dla mnie bardzo ważny. Czułbyś się skrupowany, zniewolony. Widzę to teraz wyraźnie. Staralam się usilnie nigdy o tym nie myśleć, lecz sam mnie do tego zmusiłeś. Po prostu każde z nas marzy o czymś zupełnie innym. - Zamrugła gwałtownie powiekami. - Mam nadzieję, że znajdziesz szczęście w życiu, cokolwiek to dla ciebie oznacza.

- O czym ty mówisz? - spytał Chance. W jego głosie słychać było nuty prawdziwego przerażenia. - Ja doskonale wiem, czego potrzebuję. Kogo potrzebuję.

- Do widzenia, Chance. - Marcie wypchnęła go za próg i zatrzasnęła drzwi.

Nie chciała słuchać jego zapewnień o miłości. Choć wcale nie była pewna, że to właśnie usiłował jej powiedzieć. Czuła, jak bardzo mocno bije jej serce. Z trudem chwyciła powietrze. Lecz wiedziała, że postąpiła słusznie. Lepiej teraz niż wtedy, gdy będzie za późno.

Rozejrzała się po salonie. Popatrzyła na choinkowe ozdoby i na ślicznie zapakowane pudełko z imieniem Chance'a pod drzewkiem. Boże Narodzenie, które miało być najwspanialsze, będzie najgorszym dniem w jej życiu.

Oslupiały Chance patrzył na drzwi domu Marcie. Na drzwi, które zatrzasnęła mu przed nosem, wyrzucając go ze swego życia. Usiadł w samochodzie i próbował pozbierać myśli. Rozważał dwie możliwości. Mógł siłą sforsować drzwi i zmusić Marcie, by go wysłuchała. Szybko zrezygnował z tego pomysłu. Wiedział, że nie zdołałby zmusić jej do czegokolwiek.

Zostało mu zatem drugie rozwiązanie.

Musiał naprawić całe zło, które zostało jej wyrządzone. Najpierw więc powinien zmierzyć się z ojcem.

Przedtem jednak musiał opanować paniczny lęk. Ze strachem pomyślał, że Marcie mogłaby go jeszcze raz odepchnąć. Wiedział, że sam był sobie

winien. Zupełnie nie w porę wypowiedział słowa o małżeństwie. Lecz był pewien ponad wszystko, że tego właśnie pragnął najbardziej. Ożenić się z Marcie i wspólnie stworzyć dom rodzinny.

Chance pojechał prosto do domu ojca. Siłą przedarł się przez kordon służby i cisnął na biurko Douglasa Fowlera pomięty dokument.

- Czy zechciałbyś wyjaśnić mi, co, u diabła, chciałeś zyskać, każąc George'owi Dunlopowi jechać do Marcie z tym gównem?! - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Douglas Fowler sięgnął po cygaro. To stara sztuczka, którą stosował, by zyskać na czasie. Lecz Chance nie dał się podejść. Odepchnął szkatułkę i warknął:

- Odpowiedz natychmiast! Ojciec milczał.

- Dobrze. Skoro nie chcesz powiedzieć mi, co próbowałeś osiągnąć, ja powiem tobie, czego już dokonałeś. - Chance dostrzegł spłoszony wzrok ojca.

- Byłem całkiem zadowolony ze związku z Marcie. Żadnych zobowiązań, żadnych planów, rozmów o przyszłości. Kiedy jednak cisnęła mi w twarz ten dokument, gdy nazwała mnie draniem i wyrzuciła z domu, przejrzałem na oczy. Dziękuję! To twoja zasługa. Zdobyłem wreszcie odwagę, by zrobić to, co powinienem był uczynić już bardzo dawno.

- Zastanów się, Chance. Miłość jest ulotna. Co jest rajem dzisiaj, za rok może być piekłem. Gdzie wtedy będziesz? Uwikłany w zalegalizowany związek, będziesz tracił pieniądze na rzecz sprytnej naciągaczki.

- Rozumiem, że przemawia przez ciebie ogromne doświadczenie.

- Dlaczego więc nie chcesz skorzystać z mojej wiedzy i rady?

- Tak wygląda twoje życie, ale nie moje. Znalazłem wspaniałą kobietę i chcę spędzić z nią resztę życia. Wiem, że to dla ciebie rzecz niepojęta, ale wiem też, że to ja mam rację.

Chance odwrócił się na pięcie i opuścił dom ojca.

Pierwszy krok wykonał. Pozostał jeszcze jeden. Miał następny dzień, środę i część czwartku, na przygotowanie wszystkiego, czego potrzebował do Wigilii. Nie mógł pozwolić sobie na żaden, nawet najmniejszy błąd.

Jechał do domu z głową pełną niezwykłych myśli. Żona, dom, rodzina. Nigdy przedtem te sprawy nie były dla niego ważne. Aż do tej chwili. Nie dopuszczał w ogóle myśli, że coś mogłoby się nie udać. Ożeni się z Marcie i będą żyli długo i szczęśliwie!

We czwartek Marcie zamknęła sklep w samo południe. Jak zawsze dwudziestego czwartego grudnia, dała pracownikom pół dnia wolnego. Wszyscy wokół żyli już świętami. W radosnym nastroju szykowali się do spotkań z rodzinami i przyjaciółmi. Rodzice Glena przyjechali aż z Michigan, by spędzić z nim Boże Narodzenie. Nastął czas miłości i serdeczności.

Ale nie dla Marcie Roper. Wiele osób zapraszało ją do siebie, lecz wszystkim grzecznie odmówiła. Każdemu mówiła, że ma już inne plany i że na pewno nie będzie w święta sama.

Ale nie dotarła jeszcze do domu, gdy już samotność bolesną drzazgą wbiła się w jej duszę. Chance'a nie widziała od chwili, gdy wyrzuciła go z domu. Uczyniła to świadomie i zamierzała trwać przy tej decyzji, choć ból był niemal nie do zniesienia.

Włączyła telewizor. Wyświetlano film „It's a Wonderful Life”\* z Jimmym Stewartem. Zmieniła kanał. Historie o „szczęśliwych na wieki” nie odpowiadały jej. Nadawali informacje o pogodzie. Jest się z czego cieszyć, pomyślała. Wszędzie taka paskudna pogoda, a w San Diego świeci słońce. Jest powód do radości. Skuliła się w kącie kanapy i bezmyślnie patrzyła w ekran telewizora. Przeżycia ostatnich dni zmogły ją w końcu. Powieki same opadły i wkrótce zasnęła.

\* rzewny melodramat z roku 1947

Kiedy dotarło do niej brzęczenie dzwonka u drzwi, nie mogła pozbierać myśli. Nie umiała nawet powiedzieć, jak długo spała. Kto to może być? pomyślała. W Wigilię? Nie oczekiwała przecież nikogo.

Otworzyła drzwi i stanęła oko w oko z Chance'em Fowlerem. Zanim zdążyła się odezwać, wszedł do środka i nogą zamknął drzwi. Ręce zajęte miał olbrzymim pudłem. Marcie otworzyła usta, by się odezwać, lecz nie pozwolił jej dojść do głosu.

- Zanim powiesz cokolwiek, chciałbym, żebyś tu usiadła - rzekł i poprowadził ją do kanapy - a potem wysłuchała mnie. Zgoda? - Położył jej palec na ustach.

- Kiwnij tylko głową.

Skinęła głową, oszołomiona.

Otworzył pudło i wyjął bukiet z tuzina róż.

- To dla ciebie. Piękne róże dla pięknej pani. Głęboko wciągnęła odurzający aromat kwiatów. Spojrzała na Chance'a. Na krótką chwilę ich oczy się spotkały.

Chance ponownie sięgnął do pudła. Wydobył zeń butelkę szampana i kieliszki. Otworzył butelkę, napełnił kieliszki i podał jej jeden.

- Chciałbym wznieść toast - powiedział. - Za ten niezapomniany wieczór i radosne Boże Narodzenie. Pierwsze z wielu.

- Kwiaty i szampan? O co ci chodzi, Chance?

- Na razie nic nie mów. Będzie coś jeszcze. - Nerwowo przestąpił z nogi na nogę. - Ja... nigdy dotąd tego nie robiłem i nie bardzo wiem, jak to powinno wyglądać. - Chrząknął nerwowo i wbił wzrok w podłogę.

Po chwili znów spojrzał na Marcie. Wydobył z kieszeni małe, czarne pudełeczko. I nagle, niespodziewanie, padł przed nią na kolana.

- Marcie! - Ujął ją za rękę. - Marcie, kocham cię tak bardzo. Nie mówiłem tego jeszcze żadnej kobiecie. Jesteś pierwszą i jedyną, którą pokochałem i zawsze będę kochał. - Wyjął z puzderka pierścioneł z brylantem. - Czy

zechcesz wyświadczyć mi ten honor i wyjdiesz za mnie? Pragnę spędzić z tobą resztę życia. A jedyny dokument, który chciałbym, byś podpisała, to akt ślubu. - Zastygł w bolesnym oczekiwaniu.

Marcie spoglądała na migoczący na jego dłoni pierścionek i nie wierzyła własnym oczom. W najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że ujrzy kiedyś Chance'a Fowlera klęczącego u jej stóp i proszącego ją o rękę.

- Nie wiem, co powiedzieć - wyszeptała.

- Powiedz: tak. - Chance spróbował się uśmiechnąć, lecz wypadło to bardzo żałośnie.

- Mam kilka wątpliwości - zaczęła z wahaniem Marcie. To nie była prawda. Była przerażona.

- Wątpliwości? - Chance oczekiwał całkiem innej odpowiedzi.

Wyciągnęła rękę i nieśmiało, samymi czubkami palców, dotknęła jego policzka. Chance chwycił jej dłoń i przycisnął do piersi. Poczowała bicie jego serca. Lecz wciąż miała wątpliwości.

- Kocham cię, Chance. Kocham cię aż do bólu. Czasem myślę, że aż za bardzo.

Kochała go. Radość wypełniła mu duszę. Dopiero kiedy dotarli do niego jej ostatnie słowa, dopadł go lęk.

- Jak można kochać kogoś zbyt mocno? - spytał.

- Boję się, Chance. Jestem przerażona.

Usiadł na kanapie, tuż przy niej. Otoczył ją ramieniem i przytulił.

- Ja też się trochę boję. Nigdy jeszcze nikogo nie prosiłem o rękę. A to poważna sprawa. Ale przecież ty mnie kochasz. I ja ciebie kocham. Czegóż więcej nam potrzeba?

- Wierzę ci. Wierzę, że to, co powiedziałeś przed chwilą, jest prawdą. Ale...

- Ale co? - Uniósł jej brodę i zajrzał w głąb oczu.

- Co cię niepokoi, Marcie? Nie chcesz jeszcze wychodzić za mąż? Masz wrażenie, że ponaglam cię, zmuszam? Wiem, że znamy się dopiero dwa miesiące, ale jeszcze nigdy nie byłem niczego tak pewien, jak tego, co do ciebie czuję.

- Jesteś naprawdę pewien? A co będzie, jeśli za kilka miesięcy zaczniesz zastanawiać się, czy to przypadkiem nie ty zostałeś zmuszony do małżeństwa? Albo jeżeli po wielu latach uznasz, że życie rodzinne nie dostarcza ci dość podniet i rozrywek?

Chance pochylił się i pocałował ją delikatnie.

- Gadasz głupstwa. Proszę cię o rękę, bo cię kocham i bardzo pragnę, byśmy założyli rodzinę. Ty, Marcie Roper, jesteś jedyną podnietą i rozrywką, jakiej potrzebuję. Proszę, powiedz, że wyjdiesz za mnie - rzekł i z zapartym tchem czekał na odpowiedź.

- Nie umiem wyobrazić sobie życia bez ciebie, Chance. - Marcie wciąż jeszcze wahała się.

- Czy to oznacza, że wyjdiesz za mnie?

Zacisnęła powieki. Usilnie próbowała zachować zimną krew.

- Czy jesteś pewien, Chance? Czy jesteś absolutnie pewien, że tego właśnie chcesz?

- Jeszcze nigdy w życiu nie byłem niczego tak pewien. Odszukała jego usta i pocałowała go czule.

- A zatem, będę zaszczycona, gdy zostanę panią Fowler.

Z promiennym uśmiechem Chance wsunął na jej palec pierścionek.

- Wesołych Świąt, Marcie Roper. Moje świąteczne życzenie spełniło się. Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Wziął ją w ramiona, przytulił. A cały pokój wypełnił się miłością, która trwać będzie po wsze czasy.